

…hovna
…kého spolku »Slavia«
…Praze.

Knihy belletristické půjčují se … a v stejném čase toliko 4, z nichž … odboru.

Členy, kteří v čas … knih nevrátí, upomene knihovník … černém prkně. Kdo vyzvání toho neuposlechne, upomene po 8 dnech nevyplaceným listem, a kdyby ani to nepomohlo, po 14 dnech ve veřejných listech.

Slavnému
literárnímu a řečnickému
spolku Slavia
v upomínku na
odevzdání praporu
dne 24 května 1891

STARE DZIEJE.

Sofie Podlipská
kmotra praporu

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible]
[illegible]

STARE DZIEJE.

KOMEDJA W CZTERECH AKTAC

przez

J. I. Kraszewskiego,

grana

na teatrze wołyńskim w Żytomierzu 1. Stycznia 1859.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1859.

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

Panu

Andrzejowi Grabiance

w dowód szacunku i przyjaźni

przesyła

Autor.

d. 24. Marca 1859, Żytomierz.

Myśl do téj komedji podały mi istotnie podania stare, gdyż w każdéj prawie naszego kraju prowincji rozpowiadają po szlacheckich dworach o faktach podobnych temu który służył za osnowę naszéj sztuce.

Tak bywało, tak było, nie wiem czy i dziś jeszcze byćby tak mogło; to pewna, że stara szlachta, wierna tradycjom rodowym i pojmująca swe obowiązki, dziś jeszcze czuje się z ludem w tym związku jaki dawniéj łączył węzłem nierozerwanym wszystkie klassy narodu. Majątek ziemski jest dla niéj spadkowym obowiązkiem, często ciężarem, a nigdy pozbycie się ziemi ojców i ludu, z którym wieki na jednym przeżyło się zagonie, nie przychodzi bez boleści. U nowych panków ziemia już stała się kapitałem, towarem, materjałem do robienia grosza i nic więcéj.

Nie tak dawniéj bywało.

Coś o przeszłości, nieco o dniu dzisiejszym chcieliśmy powiedzieć w téj komedij, granéj w czasie wła-

śnie, gdy komitet do zmiany stosunków włościańskich wyznaczony zasiadał i przyszłość obmyślał. Sądziliśmy, że przemówić doń w imieniu przeszłości godziło się i było potrzeba.

Napisana zbyt zapewne szybko, wyuczona przez artystów pospiesznie, komedja ta przedstawioną została d. 1. Stycznia 1859. na benefis p. Adama Miłaszewskiego. Słuchano jéj z uwagą, przyjęto z podziwieniem w milczeniu, które się różnie tłumaczyć daje, a którego tu wykładać nie chcemy. Winienem podziękować artystom, którzy z największém staraniem myśl moję w życie wprowadzili; jeśli miała sukces jaki sztuka, im go winna.

Im żywszy może obraz charakterów naszych przedstawiają stare dzieje, tém wrażenie jakie uczyniły przykrzejsze być musiało.

Widziałem na twarzach nawet tych co mi przychodzili winszować, zachmurzenie, zniecierpliwienie, oburzenie prawie za to, żem śmiał pana, szlachcica, ekonoma i chłopa razem wszystkich na deski powołać sine discrimine. Byli którzy wołali: czerwony! inni okrzyczeli: arystokratą; większa część widocznie cierpiała nad tém, że żywo kraj swój i siebie widziała na theatrum!

Nie wyliczyłbym sądów... natomiast i jednego nie znalazłem coby mnie chciał zrozumieć i myśl

moję w danych okolicznościach chciał pojąć!... Cóż robić! potrzeba się odwołać do sądu dalszych i mniéj w tém interesowanych ludzi, dla których komedja nasza ciekawostką z epoki komitetów włościańskich być może.

Dla mnie na całe życie pamiętnym będzie ten wieczór d. 1. Stycznia, który, ukryty w górnéj loży spędziłem wpatrując się w teatr milczący, ponury, niespokojny, w parter niekiedy głuchemi odzywający się oklaski... i w postacie charakterystyczne naszych kilku, niestety! arystarchów w téj chwili przygniecionych całą ważnością swojego posłannictwa sędziowskiego, a niepewnych czy szlachcie klaskać, czy chłopu... czy się oburzać, czy chwalić, czy świstać, czy śmiać się. Wiem, że w samotnéj loży mojéj trwało przedstawienie długą jak wiek przestrzeń czasu, a wyszedłem zeń złamany cały....

Protestuję przeciwko wszystkim domysłom niedorzecznym, jakbym żywe jakieś wzory przeniósł na scenę; w życium tego nigdy nie czynił, i samo posądzenie o to za potwarz uważam.

d. 4. Marca 1859. Żytomierz.

OSOBY.

PAN HRABIA ZAWOLSKI lat 50. (Postać poważna, suchy, siwiejący, fiziognomji pięknéj i szlachetnéj, na któréj znać ślady pracy i cierpienia. Ubranie nie wykwintne, ale staranne. Surdut ciemny.)

P. Jakób Czechowicz.

AMELJA jego córka, 22 lata. (Strój skromny, ale smakowny.)

P. Joanna z Kotowskich Miłaszewska.

ADAM CZARNKOWSKI jéj narzeczony, lat 28. (Przystojny, młody, ubiór staranny, ale prosty. Czamarka ciemna.)

P. Adam Miłaszewski.

BARTŁOMIEJ JACZEŃKO, rządzca dóbr, lat 50 kilka. (Grubawy, z wąsami podstrzyżonemi, szyją krótka, bóty do kolan, kapota szara, czapka barankowa, sute dewizki u zegarka.)

P. Benda.

BOLESŁAW JACZEŃKO, jego syn, lat 25. (Elegant z prowincji, trochę śmiesznie i jaskrawo ubrany, mnóstwo łańcuszków i guzików, chustka kolorowa na szyi.

P. Józef Damse.

PROKOP BOHATERUK, wieśniak, lat 60. (Stary ale silny, wysokiego wzrostu mężczyzna, łeb podgolony, wąsy spuściste, ubiór wieśniaków wołyńskich.)

P. Goniprowski.

OLENA BOHATERANKA, córka jego, lat 18. (Dzieweczka po wiejsku odziana, trochę z dworska, na głowie w kwiatkach.

P. Kamilla Betlejewska.

IWAŚ, kozaczek dworski, lat 20 kilka. (Przystojny i zręczny, ubrany po kozacku dostatnio.)

P. Mieczysław Stopelle.

Gromada wiejska i t. d.

Rzecz dzieje się na wsi w dobrach hrabiego, w roku 18...

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia podwórko przed wiejskim folwarkiem, z gankiem na dwóch słupkach wspartym i ławkami. Na przodzie mały ogródek zarosły chwastami i malwami z stojącemi na kijach hładyszami i porozwieszaną bielizną. W cieniu drzew w prawo bliżéj sceny stoi stół prosty, na nim książki rachunkowe, kałamarz, pióro, linia i flaszka zielona z wódką, nakryta otłuczonym kieliszkiem. W głębi po za sztachetami odgradzającemi podwórze widać kraj pagórkowaty, poprzerzynany laskami.

SCENA I.

BARTŁOMIEJ Jaczeńko rządzca i syn jego BOLESŁAW. — Pierwszy przechadza się w czapeczce na głowie i krótkim w zębach cybuszkiem; drugi modnie niby ale trochę śmiesznie ubrany, leży rozwalony na dwóch stołkach z cygarem w ustach.

BARTŁOMIEJ.

Otóż, potrzeba nareszcie, mój mospaneńku kochany Bolesławie, abyś ty wiedział jak my stojemy w interesach i co u mnie w głowie dla twojego dobra. Nikt nie słucha? (ogląda się) pogadajmy otwar-

cie. Całe życie chorował człek, pracował dla waszeci tylko, aby cię na ludzi wyprowadzić; przyszła chwila żniwa. I ty wyrosłeś niezgorzéj i w kieszeni téż coś jest. Posłuchajże: jestem tu w tym kluczu u hrabiego od lat trzydziestu kilku ekonomem, pisarzem, rachmistrzem, w ostatku już rządzcą. Goluteńki jak turecki święty przyjechałem, ale dzięki Bogu i opatrzności jego, któréj zawsze nad sobą doświadczałem, a po części i własnéj głowie nie dla proporcji (uderza się po czole) uzbierało się tedy, mospaneńku, grosiwa, choć i waszecina ta edukacja kosztowała także nie mało!! Hrabia mi trochę do niej pomagał, ale i moja kabza czuła.... (wzdycha) Jesteś, nie chwaląc się, wyedukowany jak pańskie dziecko, *parle franse*, grasz, śpiewasz, tańcujesz, cóż tu więcéj chcieć? Na paniczyka mi wyglądasz! (śmieje się.) Otóż ja ci powiem, że cię chcę i muszę panem, całą gębą panem zrobić!!

BOLESŁAW (obojętnie).

No! nic nie mam przeciwko temu! Cóż tedy daléj? Słuchamy!

BARTŁOMIEJ.

Dalej? Zaraz zobaczysz jak ja to sobie sprytnie ukartowałem, chociaż wy zawsze z nieboszczką jejmością mówiliście żem ja głupi. A no! no! nie trzęś

głową, bom słyszał! mniejsza o to! Jednak żebym był na wasz rozum się spuścił, tobyś ty teraz gdzieś, chuchając w palce gorzelni pilnował, a to ja! ja! ciebie panem zrobię.... Słyszysz... całą gębą panem.

BOLESŁAW.

Dobrze, dobrze! ale mówcie już co macie mówić! bo że pieniądze ojciec dusisz, toć ja wiem i tak.

BARTŁOMIEJ.

Żyłem, z pozwoleniem jak.... nierogacizna!.... odejmując sobie od gęby dla waszeci mospanenku, aby tylko grosz do grosza... to była zawsze moja metoda... a waćpan traciłeś tylko....

BOLESŁAW.

E! cóż znowu! bez wymówek! mówcie bo! Co tam daléj tak ciekawego!

BARTŁOMIEJ.

Zawsze z ciebie gorączka, mospanenku, potrzeba mieć cierpliwość i posłuchać do końca.... Zważajże co się dzieje i co głupi ojciec wymyślił. Ciułał, ciułał, dusił, dusił, a dziś... kupujemy majątek.

BOLESŁAW (zrywając się).

Gdzie? jaki? wiele dusz?

BARTŁOMIEJ.

Ale słuchajże i nie przerywaj! Znasz hrabiego naszego? dobry, jak kasza z mlekiem, ale ciemięga jakich mało, rachunku ani za grosz; rozumny jak Salomon ale w xiążkach, siedząc nieustannie tyle długów narobił i tak się, mospaneńku, zaszastał, że dziś ledwie się już tu trzyma na włosku. Zawszeście mi mówili, że ja głupi... a ot... zobaczycie com skomponował, ho! ho! Przyczaiłem się sobie z workiem na przesmyku, pożyczałem żydkom, żydki jemu, po cichu skupywałem jego długi, procenta zaległe rosły — i — (cicho) wiesz? mam tyle na tym kluczyku hrabiowskim, że mogę Jaśnie pana wypędzić, a sam z folwarku przenieść się do pałacu. Otóż... jak ja głupi!...

BOLESŁAW.

No! tegom się nie spodziewał po ojcu! dobra rzecz taki majątek, to sobie i pohulać będzie można.

BARTŁOMIEJ.

Dam ja ci, trutniu jakiś, hulankę, dam!... kupuję ale na moje imie wszystko; musisz mi się już ustatkować, dosyć tych długów mospaneńku... popłaciłem ostatnie i więcéj nie dam... basta!

BOLESŁAW (śmiejąc się).

O! o! przeczuwałem ja zawsze że ojcowska kabza dobrze nabita....

BARTŁOMIEJ.

Tak, potem i krwawicą moją!... nie dam ci tracić, co mi przyszło ciężko, jak powiada przysłowie: nie wziąwszy na sumieniu, nie będzie na ramieniu.... Całe moje życie włożyłem w to, żeby ciebie panem zrobić; heroldja nas potwierdziła, jesteśmy szlachta, możemy majątki kupować ile grosza stanie i na wyborach krzyczeć jak drudzy... Prawda, że mnie to szlachectwo djabelnie po kancellarjach karku i kieszeni kosztowało, ale téż, mospaneńku, rzecz jest, a co szlachcic! to szlachcic! Hrabia na włosku wisi, my czatujmy z boku i chapniemy kluczyk razem z zameczkiem.... A co? a mówiliście żem głupi!

BOLÉSŁAW (z uśmiechem wyższości).

A! a! jaki papa pocieszny!

BARTŁOMIEJ.

Nie dosyć jeszcze na tém, cicho tylko! sza!! — Hrabia stary, ciężki, przywiązany do tego miejsca, do ludzi, do drzew, do pniów, do ścian, zwyczaj-

nie dziwak... otóż, kiedy ja mu zaśpiewam, fora ze dwora...

BOLESŁAW.

Aj! ludzie będą strasznie krzyczeli!

BARTŁOMIEJ.

Gdzie zaś! żebym był goły a szelmostwo zrobił, to co innego; ale kiedy mam pieniądze? Widziałeś kiedy, żeby na bogatego krzyczeli? Ale słuchajno, a milcz... otóż tak. Hrabia ma córkę, niechaj ją wyda za waszeci, mospaneńku, a ja go zostawię we dworze i będzie się sobie w swoich książkach dłubał, a ja wam pogospodaruję!... Albo mi córkę da albo nie — no, to sobie ruszą z kwitkiem....

(Śmiejąc się przyśpiewuje.)

A kiedyż odjeżdżasz bądźże zdrów...
O mojéj przyjaźni dobrze mów!

BOLESŁAW.

Ale to być chyba nie może!

BARTŁOMIEJ.

Czemu mospaneńku? czemu?

BOLESŁAW.

Ojciec mu się tego nawet nie ośmieli powiedzieć.

BARTŁOMIEJ.

Ja? nie powiem? zobaczysz! Golnę dobry kieliszek i wezwawszy na pomoc patrona, tak mu wyrecytuję aż miło....

BOLESŁAW.

Ale on takiego układu nie zechce!

BARTŁOMIEJ.

No! to i dobrze! Albo to ja się znowu tak bardzo napieram tego honoru? Nie da mnie on córki, to ja ciebie za rok z prezesówną ożenię.

BOLESŁAW.

Mój tatku.... Za mnie jak za mnie, pewnoby się jéj dać nie wahali, gdybym się o to postarał, bom taki podobny do ludzi; ale któż zechce mieć takiego tatula? Chybabyś ojciec gdzie na Bessarabją powędrował....

BARTŁOMIEJ.

Co? co? słyszysz go? A ja to co? myślisz że nie potrafię być obywatelem? Ja teraz tylko tak na ekonoma jeszcze wyglądam, ale majątek kupiwszy, zaraz innym będę człowiekiem. Ho ho! zozobaczysz! Wy zawsze mówicie, ojciec taki, owaki,

a ja wszystko wiem co mnie trzeba... No! ale projekcik ci się uśmiecha? he?

BOLESŁAW (niedbale).

Projekt się panu ojcu pochwala, zobaczymy tylko jak przyjdzie do wykonania, co się pokaże.

BARTŁOMIEJ.

Wszystko już przygotowane, dziś, jutro, ale nawet tak i dziś jeszcze mu powiem.

(po chwili)

To jednak prawda, że choć ciemięga z tego hrabiego, ale jak człowiek przed nim stanie, licho wie co to jest mospaneńku, czegoś strach bierze i durniejesz.

BOLESŁAW.

Ojcze, o to nie trudno.

BARTŁOMIEJ.

Zawsze swoje!! ale zobaczycie.

BOLESŁAW.

Plan tedy dalszy? jaki?

BARTŁOMIEJ.

Krótko a węzłowato, przyjdę, pokłonię się...

BOLESŁAW.

Że się ojciec pokłoni, nie wątpię.

BARTŁOMIEJ.

I powiem mu ot tak: mospaneńku, panie hrabio, panowaliście, panowali, no — a teraz przyszła pora na Jaczeńków.... Oto waścine długi, a ot co wam pozostaje. Chcecie córkę dać mojemu Bolesiowi, zgodzę się na to i niechaj gospodarują, a nie chcecie? to jak sobie chcecie; ale proszę się ztąd wybierać.

BOLESŁAW (szydersko).

Pięknie, pięknieby to było, cóż, kiedy, słyszę, zaręczona.

BARTŁOMIEJ.

A tak! słyszę i ja, że zaręczona za tego hołysza Czarnkowskiego, rozumnego jak sam hrabia. Ale mnie co do tego? zaręczyli, niech odręczą.

BOLESŁAW.

I ona go kocha....

BARTŁOMIEJ.

Niech się odkocha! mnie co do tego! Niby to ty nie jesteś daleko od niego pokaźniejszy, a co grunt, że bogatszy.

BOLESŁAW.

Jak to ojcu wszystko łatwo idzie.

BARTŁOMIEJ.

Cóż? jeszcze ci mało, mospaneńku? źle skoncypowałem, jeszczem głupi?

BOLESŁAW.

Nie, nie! ale to wszystko na wierzbie gruszki, tatku najukochańszy.

BARTŁOMIEJ.

No! zobaczemy, pamiętaj tylko com ci mówił i rób jak każę. Do hrabianki mi się przybliż wcześnie, jużci ma oczy i musi się poznać na tobie.

BOLESŁAW (niedbale).

Zobaczemy! Zresztą i mniejsza o to!

SCENA II.

Ciż sami. OLENA wychodzi z folwarku i kłania się do nóg Bartłomiejowi. Przez cały ciąg sceny Bolesław pogląda na nią znacząco, mruga i pokręca wąsa.

BARTŁOMIEJ.

Cóż tam u licha? Czego to chcesz? po co tu włazisz kiedy cię nie wołają?

OLENA (smutnie ale trochę figlarnie).

Ja to, z prośbą do wielmożnego pana....

BARTŁOMIEJ.

A byłem tego pewny, że nie z datkiem, tylko

z prośbą, wy tylko prosić umiecie, nigdy wam nie dosyć. Gadajże a żywo, mospaneńku, bo ja na skwierczenie wasze nie mam czasu.

OLENA.

Już oto rok, proszę pana, jak mnie zabrali z chaty do dworu, ojciec stary tęskni za mną, chciałabym do niego powrócić.

BARTŁOMIEJ.

Patrzajcie! chciałaby! A któż to wam dał wolę? Czy to wy możecie chcieć kiedy wam nie pozwolono?

BOLESŁAW.

Czy to wam źle tutaj?

OLENA.

Źle, nie — ale wszędzie dobrze, a w chacie najlepiéj. Ojciec prosił hrabiego, żeby mnie uwolnił, i jaśnie pan obiecał....

BARTŁOMIEJ (gniewnie).

Co! co! już ten stary chodził do hrabiego! Patrzcie! hrabia! hrabia! A ja to co jestem? Hrabia o niczém nie wie, ja tu gospodaruję, słyszysz? Za to samo do domu nie puszczę.

OLENA.

Niech pan będzie łaskaw! co panu z przymuszonéj sługi.

BARTŁOMIEJ.

O! o! rozumuje! Przymuszony sługa najlepszy mospaneńku, bo z nim nie ma ceremonji. — Nie puszczę, a jak mi jeszcze raz ośmielicie się chodzić na mnie do hrabiego, no! zobaczycie! Ja wam tu dam hrabiego!

(wychodzi do folwarku grożąc.)

SCENA III.

OLENA stoi smutna. BOLESŁAW po odejściu ojca zbliża się do niéj.

BOLESŁAW.

No! otrzyj te łezki! Co ci tam w głowie, że się na wieś zachciało... przecież tu lepiéj, roboty nie ma wielkiéj....

OLENA.

Albo to ja się pracy boję?

BOLESŁAW.

I nie to co wasza nędza w chacie?

OLENA.

Nasza nędza nam nie straszna.

BOLESŁAW.

Jaka rezolutna! No! a dla tego my cię do domu nie puścimy, trzeba zostać z nami i dla mnie być grzeczniejszą — słyszycie moja panienko....

OLENA.

Słyszę, ale nie rozumiem.

BOLESŁAW.
(zbliża się chcąc ją objąć, dziewczyna ucieka.)

Czegożeś taka dzika?

OLENA.

Zwyczajnie chłopka, wszystkiego się boję....

BOLESŁAW.

Nawet uściskania?

OLENA.

O! tego najgorzéj!

BOLESŁAW.

Drożysz się z sobą! ale to nie pomoże! Na wieś cię nie puszczą, a jak się lepiéj trochę poznamy, powolniejszą będziesz dla mnie. Będę ci kupował śliczne korale, krasne wstążeczki, co zechcesz!

OLENA (drwiąco).

Doprawdy?

BOLESŁAW.

O! o! koraliki skutkują, oczki się śmieją!

OLENA.

A wiesz pan czy z koralów czy z niego?

BOLESŁAW.

Z kogo? ze mnie? Niegodziwa! mógłbym się pogniewać. ale ci to daruję dziecko moje....

OLENA (uciekając.)

Do nóg upadam ojca dobrodzieja!

SCENA IV.

BOLESŁAW sam.

Jaki to spryt w tém prostém dziewczęciu, co za świeżość i wdzięk w téj twarzyczce. Wcale mi do smaku! niczego! nie puścimy jéj na wieś, bo by się to w brudnéj chacie zwalało, a szkoda — na honor, pański kąsek.

(ziewa.)

A! co za nudy na wsi, jakie głupie życie! ani kawiarni, ani bilardu, ani stósownego towarzystwa! Jeżeli ojcu uda się zrobić, jak mówi, wyjedziemy przynajmniéj z tego obrzydłego folwarku, w którym się duszę... na przyzwoitszy świat.... Tylko, co ja z tym ojcem zrobię?... będzie sobie gdzieś w kącie karbował — hrabianka dosyć piękna, i zdaje się, dobrze wychowana... majątek dobry, wypadnie się trochę ustatkować.... Jednak i ten szanowny tatko, ma swoją dobrą stronę...

SCENA V.

BOLESŁAW. BARTŁOMIEJ wychodzi z folwarku mocno poruszony, mówiąc do siebie.

BARTŁOMIEJ.

Tak jest! trzeba to raz skończyć, mospaneńku, dosyć tèj ekonomji, powiem mu otwarcie, masz asindziej do wyboru....

BOLESŁAW (przerywając).

Komu?

BARTŁOMIEJ.

No! toć wiesz przecie... hrabiemu.... Czego ja to będę dłużéj udawał.... Obrachowałem siebie i jego, nie ma prawie nic, wszystko moje, po co czekać dłużéj! Dziś tedy finalny koniec, stanę i powiem, mospaneńku... (zamyśla się i przerywa) Jak ci się zdaje?

BOLESŁAW.

Nic nie mam przeciwko temu! Tylko jak to ojcu przyjdzie mówić, żeby się nie zadławił....

BARTŁOMIEJ.

To prawda, głupi nałóg! trzydzieści lat służby, tak się nawykło do kłaniania i posłuszeństwa, że nie wiedzieć od czego począć.

BOLESŁAW.

Myślę, że nie przyjdzie tak łatwo.

BARTŁOMIEJ (wzdychając).

Mospaneńku, ja to i sam nie wiem; ale dla ciebie muszę się zmódz, nie ma co czekać dłużéj, stanę ot tak....

BOLESŁAW.

Jak naprzykład?

BARTŁOMIEJ.

Ot tak stanę....

(milczy zamyślony.)

BOLESŁAW.

I języka w gębie zapomnę....

BARTŁOMIEJ (tupiąc nogą).

Nie zapomnę, mospaneńku! stanę i powiem mu: Jaśnie panie!

BOLESŁAW.

Do czegóż to jaśnie panie?

BARTŁOMIEJ.

Masz słuszność! powiem mu wręcz, mospaneńku.

BOLESŁAW.

Mospaneńku także źle... za drzwi gotów wyprosić....

BARTŁOMIEJ (niecierpliwiąc się).

Ale nie, powiem mu: panie hrabio!

BOLESŁAW.

Dobrze, a daléj?

BARTŁOMIEJ (myśli).

Jak to obrócić! Sęk! Dalipan nie łatwo! Jużciż tak wprost mu powiedzieć fora ze dwora, nie wypada, tyle lat chleb jego jedząc, zresztą strach. Choć to człowiek łagodny... tak! dobry! ale kaduk wie co ma takiego w sobie, że choć nigdy nie połaje, przykrego słowa nie powie... a jak człowiek przed nim stanie, aż mrówie przechodzi po skórze... straszny...

BOLESŁAW (śmiejąc się).

Stary nałóg téj podległości i stary głupi nałóg.

BARTŁOMIEJ (rezolutnie).

Ale dziś temu koniec! basta! Muszę się zabrać i powiem mu otwarcie....

SCENA VI.

Ciż sami. PROKOP wchodzi i kłania się.

BARTŁOMIEJ.

Otóż jest! znowu chłop, gość nieproszony, dosyć, że oni cały dzień włóczyć się muszą! byle im wałęsać się i próżnować.

PROKOP.

Sława Bogu!

BARTŁOMIEJ.

No! no! bez tych ceregielów, czego chcesz?

PROKOP (wzdychając).

Niech wielmożny pan wysłucha.

(Bolesław wychodzi).

BARTŁOMIEJ.

Gadaj a prędzéj, bo czasu na gawędy nie mam.

PROKOP.

Ot, ja stary, żonka niezduża, synowę prawda mamy w chacie, ale chorowitą, nie ma komu jeść zwarzyć, chleba upiec, nie damy sobie rady i przepadniemy, jeśli nam Oleny nie powrócicie.

BARTŁOMIEJ.

Czort swoje! Mówiłem raz, że nie dam!

PROKOP.

Bądź paneńku łaskaw! posłuchaj! dłużéj ona we dworze służyć nie może, dosyć już tego roku. Każda co pobędzie dworką, to jéj późniéj oczy wybadają.

BARTŁOMIEJ.

Jeszcze ci krzywda? dziecko się poleruje!

PROKOP.

Krzywda nie krzywda, ależ my także jej potrzebujemy, a dla młodéj, trochę tam przystojnéj dziewczyny, w takiéj służbie nie zdrowo.

BARTŁOMIEJ.

Oto mi sensat! mospaneńku! A tobie co sądzić zdrowo czy nie zdrowo?... Ja wiem co robię.

PROKOP.

Chodziłem do hrabiego... obiecał że mi ją każe oddać....

BARPŁOMIEJ (gniewnie).

Otóż właśnie dla tego, że chodziłeś do hrabiego, to jéj nie wypuszczę, żebyście się nie uczyli na mnie skarzyć! — Nic z tego nie będzie... słyszysz? ja tu pan!

PROKOP.

Słyszę... słyszę, ale jakże to wielmożny panie... chyba jest dwóch? Myśleliśmy że nasz hrabia tu panem, a wielmożny rządzca...?

BARTŁOMIEJ.

I głupioście myśleli, ja tu pan, ja tu rządzca, ja tu wszystko! a co postanowię, mospaneńku, to będzie.

PROKOP (skrobiąc się w głowę).

Niechajże i tak! — Ale ja was samych proszę, i proszę taki... pokornie, bądźcie łaskawi, oddajcie mi córkę... Chcę ją wydać za mąż, zaswatana, przyjmak mi potrzebny, gospodarsłwo tyle przepada!

BARTŁOMIEJ.

Ho! ho! gospodarstwo wasze! znam ja lepiéj od was to gospodarstwo — taicie się tylko, chowacie, udajecie ubogich, a licho was nie brało! A to bieda właśnie że się dobrze macie, chłop bogaty nic nie wart, zaraz mu się legną muchy w nosie, fanaberja, nieposłuszeństwo! Ja nie potrzebuję bogatych, ale uległych... mospaneńku!

PROKOP.

Alboż my to nie słuchamy?...

BARTŁOMIEJ.

Bo musicie, mospaneńku! a baty!!

PROKOP (z pokłonem).

Jeszcze raz, proszę, zmiłujcie się...

BARTŁOMIEJ.

Nie pomoże i córka musi zostać! — Tak chcę i dosyć!

PROKOP (popatrzywszy nań chwilę).

To wasze ostatnie słowo?

BARTŁOMIEJ.

Pierwsze i ostatnie, słyszysz mospaneńku, nie lubię rozpraw długich, każę i kwita.

PROKOP.

A dyspozycja hrabiego?

BARTŁOMIEJ (gniewnie).

Co mnie wasz hrabia?... (wstrzymuje się) To moja rzecz, już ja z nim o tém wolnym czasem pogadam... A no! do roboty! Na tok! słyszysz! dosyć tego perebendiowania.

SCENA VII.

(Na ostatnie wyrazy wchodzi hrabia powoli z xiążką w ręku przez furtkę z głębi. Prokop zatrzymuje się nieco, a po chwili wysuwa.)

BARTŁOMIEJ i HRABIA.

BARTŁOMIEJ (na stronie, zmieniając nagle humor i zdejmując czapkę prędko).

Otóż jest! otóż on sam! nieprzygotowanego mnie zszedł, nawetem się wódki nie napił! Tfu! i nie wiem co mówić!

HRABIA (powoli).

Przyszedłem ci powiedzieć, kochany Bartłomieju!

BARTŁOMIEJ (kłaniając się).

Słucham jaśnie pana....

HRABIA.

Że kazałem tę dziewczynę, córkę starego mego poczciwego Prokopa, uwolnić ze dworu. Ojciec mnie o to prosił, ma słuszne powody, nie godzi mu się gwałtem dziecka zatrzymywać.

BARTŁOMIEJ (jąkając się).

To jest... jaśnie panie... to jest... jak sobie jaśnie pan każe... ale ośmieliłbym się przedstawić...

HRABIA.

Prokop mnie o to prawie ze łzami prosił.

BARTŁOMIEJ (poruszony).

Co ich łzy kosztują! To panie taki ten ród chamski przemierzły, że aby rękawem potarł, łzy jak groch im się sypią.

HRABIA (żywo).

Ależ, proszę cię mój Bartłomieju, nie gadaj mi tego! Tyle razy słyszałeś odemnie, że obelżywych wyrazów na moich tych poczciwych ludzi słuchać nie lubię!

(po chwilce)

Wy wszyscy macie ten szkaradny zwyczaj, to pojęcie niechrześciańskie o ludzie, jakbyście z innéj byli ulepieni gliny. To się nie godzi! Wiesz

dobrze, że ja moich chłopków kocham jak braci, że głębiéj starając się ich poznać, przekonałem się, ile tam dobrego w nich, przy takim stanie, w takiém opuszczeniu...

BARTŁOMIEJ (trzęsąc głową gwałtownie).

Złodzieje, jaśnie panie!

HRABIA (surowo).

Ale nie plećże, proszę! — Co to jest? od trzechset lat z górą oni i pradziadowie moi żyli razem na jednéj ziemi, jednemi losy, jedną pracą w świętym związku i zgodzie. Nigdy, w najcięższych chwilach oni nas nie zawiedli, my ich nie opuścili, mamy obowiązki wzajemne, ja wdzięczność dla nich, oni przywiązanie dla mnie. Kocham ten lud....

BARTŁOMIEJ.

Oni nie kochania, ale bata potrzebują, jaśnie panie.

HRABIA (chmurno).

Proszę cię, skończże raz przecie... wiesz że mi to trudno! Olenę kazałem uwolnić!

BARTŁOMIEJ.

(zbiera się, jakby chciał wybuchnąć i hamuje).

Miałem to i ja do jaśnie pana...

(na stronie).

Źle! jaśnie pana już nie potrzeba. Boleś miał słuszność.... Tfu! kiedyż się nauczę....

(głośno)

To jest... chciałem i ja powiedzieć coś... potrzebowałem oznajmić.

HRABIA.

Co tam takiego? pewnie to nudne interesa znowu? cóż tam? źle?

BARTŁOMIEJ.

A źle! pieniędzy, jaśnie panie, w kassie ani grosza, a tu o procenta naglą niektórzy... i o kapitały się upominają... ślą a ślą... wrota się nie zamykają... rady sobie dać nie mogę.

HRABIA.

Wiem ja to, wiem, że interesa moje w złym stanie... (smutnie) Powiedz mi téż, mój kochany Jaczeńko, co to jest; jednakże gospodarstwo, mówiłeś, szło nam zawsze bardzo porządnie, przedawaliśmy nie źle, ja nie traciłem, balów nie dawaliśmy, a jednak...

BARTŁOMIEJ.

Nie moja wina! nie moja! proszę, jaśnie panie,

sam nie wiem, dopust boży... jaśnie pan zawsze tam siedział w tych swoich xiążkach.

HRABIA.

Czy i one co winne?

BARTŁOMIEJ.

Prawdę powiedziawszy, sprowadzało się to tego papieru nie mało, a osobliwości zamorskich, a obrazów, a fatałaszek różnych zagranicznych... toż to wszystek grosz, co powinien był na interesa szedł na to. Przy tém i powolność jaśnie pana dla ludzi, nigdy nie było rygoru, ja dysponuję, a jaśnie pan uwalnia, a chłopi okpiwają, a skarzą się, a piszczą. Ot, i ostatnia pszenica przez to w kopach porosła.

HRABIA.

Chcesz, bym o sobie tylko pamiętając, o nich zapominał?

BARTŁOMIEJ.

Każdy o sobie, proszę jaśnie pana, powinien pamiętać, to grunt!

HRABIA.

Maxyma wcale niechrześciańska, mój kochany. No! ale cóż mi tam powiedzieć chciałeś?

BARTŁOMIEJ (wachając się).

To względem tych interesów. (na stronie) Ani rusz! dławię się, dławię, a powiedzieć mu nie umiem. (głośno) Zkąd tu wziąć pieniędzy, już za zaległe procenta bankowe chcą majątek spisywać.

HRABIA.

Okropna rzecz! nigdy mi swobodnie odetchnąć nie dacie! Interessa! a! przeklęte interessa! Ależ przecie mogliby poczekać... mam nadzieję... stryj by mi pomódz powinien.

BARTŁOMIEJ.

E! stryj!... (macha ręką) a co się tycze czekania, było już tego dosyć, jaśnie panie!

HRABIA.

Cóż tu począć! radź mi, proszę cię.

BARTŁOMIEJ
(chce mówić i wstrzymuje się ciągle).

Trudno! trudno... to jest... jaśnie panie —

(na stronie)

Ani weż przez gębę przejść nie może... trzeba się było choć wódki napić, na czczo nie ma sposobu.... Chyba już później powiem, teraz nie mam siły... nie chcę go martwić.

(głośno)

Jaśnie pan wie lepiéj, co robić!

HRABIA.

Muszę posłać po Czarnkowskiego... to człowiek praktyczniejszy, może mi co podda.... Zawsze te pieniężne sprawy! w chwili gdy najważniejszemi zajęty jestem badaniami.... Ani chwili pokoju... Myślże tu o Horacie, Izydzie i Scropisie, o symbolach i mythologicznych tajemnicach, gdy dłużnicy siedzą na karku! A! to nieznośne....

(odchodzi powoli zamyślony.)

SCENA VIII.

BARTŁOMIEJ (sam).

I nic nie powiedziałem!! Tfu! Mają może słuszność, żem głupi.... Trzeba było wprost wyrznąć, mospanenku, a cóżby mi zrobił? Jużciż nie zje! nie zje! Ale za oczy zuch jestem, a przy nim, licho wie, co to jest! zbijam się z pantałyku! Jaśnie panie... jaśnie panie... i darmo czas tracę.... Trzeba raz skończyć, tak dłużéj być nie może! — Posyła po Czarnkowskiego, mówi o stryju, a nuż doprawdy co poradzą? Trzeba się spieszyć!

SCENA IX.

BARTŁOMIEJ. BOLESŁAW wychodzi z folwarku.

BOLESŁAW.

A cóż? widziałem że z nim mówiłeś!

BARTŁOMIEJ.

Mówiłem.

BOLESŁAW.

I powiedziałeś mu wszystko?

BARTŁOMIEJ.

Tak... trochę, to jest, nie wszystko jeszcze, bo tak raptem nie można.... Litość mnie wzięła, musiałem go przygotować.

BOLESŁAW (śmiejąc się).

Cha! cha! znowu tylko stchórzył i jaśnie panie powiedziawszy, pokłonił się nisko.... A cóż? nie odgadłem?

BARTŁOMIEJ.

Cichoż! wiem ja co robię! nie można tak prosto z mostu.

BOLESŁAW.

Przyznaj się tatku, żeś się uląkł.

BARTŁOMIEJ.

Ja? czego? miałbym się jego bać? A co on mi zrobi? On mnie, nie ja jego obawiać się powinienem, majątek i przyszłość ich w mojém ręku... ot co, mospaneńku....

BOLESŁAW.

Ale cożeś mu powiedział?

BARTŁOMIEJ (ehmurno).

To mnie wiedzieć!

(po chwili)

Prawda, że z nim nie łatwo! Gdyby się choć pogniewał, no, to i człowiekby się naindyczył i słówkoby może, mospaneńku, wyleciało; ale z tym ciemięgą nie ma sposobu, ta głupia jego dobroć tak miękczy... nie mam serca go martwić....

BOLESŁAW.

O litościwy ojcze!! cha! cha! a przyznaj, że się go téż trochę boisz!

BARTŁOMIEJ.

Cichoż mi hultaju, bo się pogniewam! uwziął się dziś mi dokuczać! Poszedłbyś lepiéj do ogrodu czy do pałacu, możebyś spotkał gdzie hrabiankę.

Umiesz przecie *parlować*, zagadałbyś, przymilił się....

BOLESŁAW.

Zapewne... jak zechcę, to zagadam.

BARTŁOMIEJ.

Hę! Ale to i z waszecią tak jak zemną... mospaneńku... z daleka toś ty zuch, a przy niéj jak trusia, ani się odezwiesz! Uważałem wczoraj, sami cię zaczepiali, trącałem cię, żebyś przecie z parlowaniem się popisał, a ty, ani be ani me, jak student stałeś i tylkoś sobie palce powykręcał, aż w stawach trzeszczało....

BOLESŁAW.

Bo ja, prawdę powiedziawszy, nie lubię téj arystokracij.

BARTŁOMIEJ.

A kiedy my przecie téż sami już będziemy do rynsztokracji należeć... jak majątek kupiemy....

BOLESŁAW.

A! żebyśmy już raz z tego przebrzydłego folwarku wyleźli, zarazby człowiek inną miał minę i fantazją....

BARTŁOMIEJ.

To prawda, mospaneńku, cała bieda z tym folwarkiem, i ja to czuję... ale zostawszy panem, otóż się za to dąć będę! ho! to zobaczysz....

Koniec aktu pierwszego.

AKT DRUGI.

Teatr przedstawia salon we dworze hrabiego umeblowany wykwintnie, dwoje drzwi w głębi, na stolikach i pułkach wiele porozrzucanych xiążek, rycin, rozmaitych osobliwostek i t. d.

SCENA I.

HRABIA (sam, chodzi żywo).

Tak jest, mają słuszność ci co mi wymawiają słabość, życie moje było pasmem niedołężnych pragnień. Zawsze mi brakło téj energji i silnéj woli, która daje czynnościom logikę i znaczenie. Rzucałem się na wszystkie strony, nic dokonać, nic zrobić nie mogąc; na chwilowe wysiłki starczyło, a wytrwania nie było w niczém. Fantazja panowała nademną i dziś, po marzeniach próżnych, aż nadto smutna rzeczywistość... i ruina.... Dla mnie to nic! zniósłbym łatwo upokorzenie i ubóstwo, ale dzie-

cię moje, przywykłe do dostatków, które do dziś dnia myśli, że mu się przyszłość uśmiecha.... Jak jéj to powiedzieć? jak ona znieść potrafi to piorunowe uderzenie? kocha Adama, on ubogi, cała nadzieja ich spokojnéj przyszłości była w tém co ona mieć mogła.... Dziś nic! lub tak jak nic! jaka dla nich przyszłość! ach! gdybym był pracował inaczéj, gdybym szedł stale w jednym kierunku! Zapóźno! próżne to żale, nie umiałem się wziąć do czynu, potrzeba nauczyć się cierpieć!

SCENA II.

Na ostatnie słowa monologu, powoli drzwi się otwierają i głowę ukazuje bojaźliwie BARTŁOMIEJ, potém nagle nabierając odwagi, wpada do pokoju, nadymając się i pocieszne nadstawiając.

HRABIA (nieco przestraszony postrzegłszy go).

A! to ty panie Jaczeńko! No — cóż tam?

BARTŁOMIEJ (po woli, uzuchwalając się).

Hm!... to jest! — że tak rzekę... to jest — iż się tak wyrażę... to jest. — Tu już nie ma co taić dłużéj, jaśnie panie.... (Tfu!) to jest... panie hrabio....

HRABIA.

Co ci to jest? zdajesz mi się pomięszany?

BARTŁOMIEJ.

Ja? ja? jako żywo! Jaśnie (Tfu! znowu!) panie hrabio... nie jestem wcale pomięszany... ale nareszcie...

HRABIA.

Mów wyraźnie co chcesz powiedzieć, nie rozumiem cię.

BARTŁOMIEJ (na stronie).

Stary nałóg górę bierze! ani rusz, a wódki się napiłem! (głośno) Przyszła w ostatku godzina, jaśnie panie, panie hrabio....

HRABIA (chłodno).

Która godzina?

BARTŁOMIEJ (zmięszany).

Pół do dwónastéj, jaśnie panie....

HRABIA.

Więc cóż?

BARTŁOMIEJ.

Ale tu nie o godzinę chodzi, jaśnie... (Tfu!) panie hrabio!

HRABIA.

Widocznie zbiera ci się na powiedzenie mi czegoś stanowczego, nie bójże się, mów śmiało. Nie jestem tak straszny....

BARTŁOMIEJ (na stronie).

Sam przecie mówi, że nie straszny, a ja się go boję, mieli racją, żem głupi (głośno) Przyszła nareszcie chwila, to jest mospaneńku... (na stronie) ani rusz, ani rusz!!

HRABIA (poważnie i smutno).

Jakaż to chwila, mój Bartłomieju, chciałbym ci pomódz wyjęzyczyć się, ale mi się domyślić trudno.

BARTŁOMIEJ.

Tu już nie ma co w bawełnę obwijać.

HRABIA.

Więc nie obwijaj....

BARTŁOMIEJ (wybuchając).

Interessa, jaśnie panie, są w stanie najgorszym, lada chwila majątek opiszą i z publicznego targu sprzedadzą.

HRABIA.

Ja to wiem, ale maszże radę jaką?

BARTŁOMIEJ.

Nic nie pomoże, jaśnie panie, trzeba pieniędzy, nie rady.

HRABIA.

Zkądże ich wziąć? Ja nie mam, ty także....

BARTŁOMIEJ (podchwytując).

Ja!! hm! trochę się tam uzbierało, panie Hrabio!

HRABIA (zdziwiony).

Ty? masz? i chciałbyś mi dopomódz?

BARTŁOMIEJ (wysilając się na odwagę).

No! kiedy już mówić, to otwarcie. Pracowało się, harowało, skąpiło, grosz do grosza; wziąłem też coś po nieboszczce żonie.

HRABIA.

Żona twoja była garderobianą....

BARTŁOMIEJ.

Panną respektową, jaśnie panie, i miała fundusik. — Wzięło się też i po wujaszku....

HRABIA.

Wuj? a! ten co siedział na szynku?

BARTŁOMIEJ (odchrzękując).

Tak... dorobił się kapitaliku handlem... a i stryj mi coś zostawił....

HRABIA.

Nigdy o nim nie słyszałem.

BARTŁOMIEJ.

Człek był skromny, ale zacności wielkiéj.... Bo żebym miał nadużyć ufności pańskiéj i z cudzego

dobra korzystać, to się, dzięki Bogu. nie pokazało po mnie nigdy.

HRABIA.

Ja cię też nie posądzam, chociaż po prawdzie powiedziawszy, były niektóre okoliczności.

BARTŁOMIEJ (bijąc się w piersi).

Czyste mam... to jest (krztusi się) sumienie... ale trzydzieści lat ciężkiéj pracy, i te... sukcessje...

HRABIA.

O których nigdy nie wspominałeś?

BARTŁOMIEJ (zmięszany).

Po co tam było gadać jaśnie panu, o téj szlacheckiéj mizerji....

HRABIA.

A! to już i szlachcicem, widzę, zostałeś!

BARTŁOMIEJ.

A jakże, jaśnie panie, potwierdzonym....

HRABIA (śmieje się).

Ależ twój ojciec....

BARTŁOMIEJ (przerywa).

Mój ojciec, jaśnie panie, zatracił swoje szlachectwo, a ja wyszukałem....

HRABIA.

To dobrze! na zdrowie ci! Cóż daléj? Musiałeś tedy nie mało grosza uzbierać, kiedy się tak z niego uniewinniasz?...

BARTŁOMIEJ.

To jest tam, troszeczkę.... Grosz do grosza, to zawsze było moją metodą.

HRABIA.

Nie zła metoda....

BARTŁOMIEJ.

I uciułało się tam coś niecoś... at... trochę!

HRABIA.

Winszuję, jam tego nigdy nie umiał. Cóż daléj?

BARTŁOMIEJ.

Jaśnie pan wie, że majątek sprzedadzą i wypędzą z niego, na to nie ma rady! Poczekać już nie poczekają, wszystkie termina przeszły! darmo! klamka zapadła! Hm. A niemożnaby to się... tak... jakoś... pomiędzy nami pokombinować??

HRABIA (do siebie, ze smutnym uśmiechem).

Między nami! między nami! Pan Bartłomiéj Jaceńko i ja!... między nami!! No cóż? Słucham daléj twéj teorji kombinacji... potrzeba być cierpliwym....

BARTŁOMIEJ (patrząc mu w oczy).

Kapitalik na okupienie majątku, znalazłby się może u mnie....

HRABIA (osłupiały).

U... u ciebie?

BARTŁOMIEJ (zmięszany).

Sukcessje te, jaśnie panie....

HRABIA.

A tak! (uśmiechając się) sukcessje te! rozumiem! po żonce, po wuju, po stryju....

BARTŁOMIEJ.

I po dziaduniu.

HRABIA.

Który u nas był atamanem?...

BARTŁOMIEJ (siląc się).

No! jak sobie chce... a dość że ja ten klucz kupuję!

HRABIA (po chwili milczenia).

Kupujesz? ty? No! ale przypuściwszy to, cóż z tego?

BARTŁOMIEJ (coraz śmieléj).

A jaśnie pan go tracisz i wychodzisz.

HRABIA.

Wiem o tém... wychodzę z laską w ręku i czystém sumieniem....

BARTŁOMIEJ.

No! otoż by się można pokombinować!

HRABIA.

Mówże jaśniéj, do prawdy nie mogę cię zrozumieć, cały dziś jesteś w zagadkach.

BARTŁOMIEJ
(odstępując parę kroków jakby dla ubezpieczenia).

Jestem szlachcic potwierdzony przez Heroldją, Herbu Brona, a hoć pan Hrabia pan z panów, a ja chudopachołek... no to cóż?

HRABIA.

Imie wielkie to tylko ciężar wielki do dźwigania, mój Jaczeńko, ja wiem o tém.

BARTŁOMIEJ.

A zresztą pan także taki człowiek jak i my....

HRABIA (oburzony).

O! pozwól! taki jak wy jeszcze nie! mój kochany. Może Bóg za karę potomków moich takiemi, jak wy, uczyni, aleśmy jeszcze nie tacy....

BARTŁOMIEJ.

A cóż za różnica?

HRABIA (szydersko).

Choćby ta jedna, mój drogi, że ja nie wiem, jak straciłem majątek, a ty się nie wytłómaczysz, jakeś się go dorobił....

BARTŁOMIEJ.

To fraszka!... A taki by się można pokombinować... to jest....

HRABIA.

Najciekawszy właśnie jestem téj twojéj kombinacji.

BARTŁOMIEJ (jąkając się).

Jaśnie panie... hm, panie hrabio... ot co... pan masz... córkę... a ja... syna!!

HRABIA

(zrywa się z krzesła śmiejąc ironicznie).

Co? co? co? Nieoszacowany, nieopłacony, najdroższy mój Jaczeńko, powtórz, żebym nie myślał, iż mi się to przysłyszało! Jak? jak? ja mam córkę? a ty... masz syna! Dalejże co? Ta scena warta miljona, który straciłem....

BARTŁOMIEJ (zmięszany).

No! ale cóż tak śmiesznego, mospaneńku... szlachcic jestem, mam syna, może się ożenić!

HRABIA (wciąż się śmiejąc).

Z moją córką! Wiesz, to myśl wyborna!! Twój

Boleś — ten śliczny młodzian podobny do perukarza małego miasteczka, szanowny dziedzic klejnotu panów Jaczeńków zaślubiający hrabiankę Zawolską!!... I cóż daléj, panie Bartłomieju?

BARTŁOMIEJ (zmięszany zawsze).

Jaśnie pan sobie żartuje... ale jabym ten klucz okupił i państwa, ma się rozumieć, z niego nie wypędził....

HRABIA (z uśmiechem smutnym).

Co za raj! Jaczeńkoby nam raczył gospodarzyć, jabym sobie miał kawałek łaskawego chleba, a pan Bolesław uszczęśliwiałby Amelję... Wiesz, to prześliczny i godzien twéj głowy projekcik, mój Jaczeńko — rozumny, przyzwoity, stósowny, uczciwy... A! a! moja córka żoną takiego błazna!!

(odwracając się ku niemu)

Słuchaj no, mój kochany, żarty są bardzo dobre pomiędzy staremi znajomemi, ale ich za daleko posuwać nie trzeba. Niskom zapewne upadł własną winą, ale nie do tyla jeszcze, byś ty do mnie z taką propozycyą śmiał przychodzić! Oszalałeś stary!! pieniądze ci głowę zawróciły! Daruję ci to twoje głupstwo, ale ty chyba pijany być musisz?

BARTŁOMIEJ (pokornie).

Jak Boga kocham, w gębie nic nie miałem.

HRABIA (zamyślony).

Upaść tak nisko! upaść, i to nie innym grzechem tylko nieudolnością, brakiem woli, żywym pracy czczéj kiermikiem — upaść tak nisko, by jemu podobni miłosierdziem swojem urągać ci się mogli... A! to okropnie! Zabójstwo, zdrada, wszystko nic, ale takie losu szyderstwo... a! to boli! to śmiertelnie boli...

BARTŁOMIEJ (na stronie do siebie).

Gniewa się, ale się namyśla, potrzeba mu zejść z oczów....

(wychodząc rzuca niepostrzeżenie na stół przed hrabiego papiery które trzymał w ręku).

SCENA III.

HRABIA (sam).

Po odejściu Bartłomieja pada na krzesło i jakiś czas pozostaje milczący z wyrazem głębokiego smutku, potém przepatruje papiery, które Jaszeńko zostawił i odrzuca je z gniewem.

SCENA IV.

HRABIA. ADAM CZARNKOWSKI wchodzi z czapką w ręku i postrzegłszy pogrążenie hrabiego, chwilę się w progu zatrzymuje, gdy ten go postrzega.

HRABIA.

Chodź! chodź! jesteś mi bardzo potrzebny... Czekałem na ciebie.

ADAM.

Potrzebny jestem? a! jakżem szczęśliwy! Oto mię masz, hrabio, całego na wasze usługi....

(ściskają się za ręce)

Ale cóż to takiego?

HRABIA (po chwili).

Przykre ci muszę uczynić wyznanie, ale czas raz szczerze pomówić, mój Adamie, o twojéj i naszéj przyszłości (wzdycha). Jestem — zrujnowany!... Nie narzekam na losy, one temu nie winne. jam winien, żem się bawił fraszkami, dzieciństwy uczonemi gdy pracować było potrzeba inaczéj. Jam winien, że sił do surowszego życia nie wyrobiłem w sobie.

ADAM.

Próżno się hrabio obwiniasz, nie tyś zgrzeszył, ale wiek, w którym żyłeś, takim cię uczynił. Rozpoczynałeś życie w chwili, gdy los nas od wszelkiego zajęcia publicznego, do którego wprzódy powołani byliśmy, usuwał; nie dziw, że szukając ulgi w smutku i osamotnieniu obróciłeś się ku nauce i zatopiłeś się w badaniach z życiem nie mających związku....

HRABIA.

A! nie każdemu i rozpaczać wolno. Widzę to, czuję, ale nie umiałem się oprzeć urokowi nauki,

upojeniu tego, co mnie od rzeczywistości odrywało. Dziś, z mojéj winy jesteśmy nad przepaścią — ja, to nic — ale Amelja!

ADAM.

Znamy to serce anielskie, dla niego własne cierpienie niczem będzie, ale twój los, hrabio?

HRABIA.

Cóż ja? o mnie tu nie idzie... kilka lat życia, ostatki mętne... gdzie je spędzę, jak mi dobiegną... o! o to mniejsza... ja cierpieć potrafię....

ADAM.

Ale, czyż już nie ma ratunku?

HRABIA.

Nie łudźmy się, żadnego.... Wystaw sobie, Adamie, jak źle ze mną być musi, kiedy ten... ale tego ci lepiéj nie mówić!!

ADAM.

Owszem, proszę, mówcie mi wszystko....

HRABIA.

Znasz Jaczeńkę?

ADAM.

Rządzcę! przecież go znam dobrze! Ludzie mówią, że grube miał zebrać pieniądze.

HRABIA.

Prawie tyle, ilem ja stracił... Musiał się dobrze nieboraczek obłowić, kiedy mi dziś przyszedł się ofiarować... Ale to coś tak pociesznego, tak nie do wiary!

ADAM.

Pieniądze? miałożby go ruszyć sumienie?

HRABIA.

Gdzie tam!! Proponuje mi wykup majątku z warunkiem, żebym, — uwierzysz li temu?... a! bym córkę moją wydał za jego syna!!

ADAM.

Szalony! jakto? ośmielił się!

HRABIA.

Ha! konającego lwa osły nogą kopią, taki rzeczy porządek na świecie. Jam musiał w pokorze słuchać jego oferty i śmiać się.

ADAM.

Tak, chyba śmiać się z myśli podobnéj, bo gniewać się, do prawdy, byłoby zbytkiem honoru... Nie sądzę, by dziś nas starą szlachtę o jakąś dumę kastową pomówić można, daliśmy wszyscy dowody

że nowych ludzi, nie patrząc pochodzenia, przyjmujemy chętnie, gdy są godni indigenatu... ale taki Jaczeńko!!

HRABIA.

Ha! a przecież to pono tutaj, na téj ziemi następcy nasi... Mówią, że po wyciętym lesie dębowym zawsze się osiczyna zasiewa... Myśmy szlacheckich naszych nie spełniali obowiązków, bawiliśmy się życiem, żartowali z siebie i z losów; — opuściliśmy ręce, zagrzebali w prywacie, i przyszła chwila, że jak na ewangelicznéj uczcie owéj, z ulicy wezwano biesiadników.

ADAM.

Nie!! ja jeszcze nie wierzę w upadek, ani go chcę przypuszczać! — Ślachta nasza ma jeszcze w sobie siły, które ją dźwigną;... osłupiała na chwilę, ale się podniesie do pracy, ale się odrodzi do poświęceń i wytrwania. Nie damy się zastąpić takim, jak Jaczeńko, dorobkowiczom, na których oczyszczenie mało dziesięciu pokoleń, tak śmierdzą łzą ludu i groszem źle nabytym....

HRABIA.

Daj Boże, byś był prorokiem! ale téż wielki nam czas do pracy....

ADAM.

Nowe pokolenie pojmie obowiązki swoje, panie hrabio....

HRABIA.

Gdyby całe do ciebie podobném było!

ADAM.

Ja na tę pochwałę nie zasługuję, chęci mam tylko dobre i odwagę. Ależ w istocie pocieszna historja z tym Jaczeńką.

HRABIA.

Głupiec stary! a jednak musiał rachować na słabość moją, na to, że dla mnie boleśnie nad wyraz będzie porzucać to miejsce. Trzysta lat z górą żyliśmy na tym ziemi kawałku, z tym ludem, przywiązaliśmy się do niego; ani my nań, ani on na nas się nie poskarzy... Każdy kąt domu tego dla mnie pamiątką... Tu mi zmarł ojciec, co jeszcze w kontuszu chodził i szablę nosił, poczciwy stary ojciec! Tu straciłem matkę, któréj życie ubiegło jak rzymskiéj matrony u domowego ogniska, tu ja na świat przyszedłem... Dziś stary, sercem i nałogiem przyrosłem do téj ziemi kątka, do niemych ścian i starych drzew podwórza... Boleśnie mi będzie rozstać się przed śmiercią i pójść na włóczęgę, gdy

tu taki spokojny grób mnie czekał w katakumbie obok dziada i pradziada!

ADAM.

Nie możnaby znaleść sposobu na to! O! mój Boże, dla czegoż uczyniłeś i mnie ubogim, jakże chętnie złożyłbym na ofiarę wszystko, co mam, aby wasz smutek okupić! Ale tych rąk dwoje są całém prawie mieniem mojem. Sierota zostałem tylko spadkobiercą imienia, którem się szczycę, to stare poświęcenia dziadów przypomina. Gdyby życie moje przydać się wam mogło na co, weźcie je, proszę, i rozporządzajcie mną.

HRABIA (ściskając go).

Z takim przyjacielem nie zginiemy... A! mnie niedołężnemu pieszczuchowi, nie wiesz, ile kosztować będzie to miejsce opuścić!

ADAM.

Nie możnaby tych ludzi uprosić i ułożyć się! pracowalibyśmy....

HRABIA.

Może począćby coś można, gdybyśmy z kim innym mieli do czynienia, ale patrz...

(podaje mu papiery ze stołu)

Odchodząc zostawił mi umyślnie te papiery, z któ-

rych się dowiaduję, że jest wszystkich prawie długów moich nabywcą....

ADAM (przeglądając podane rachunki).

Któż? on? znowu ten Jaczeńko?

HRABIA.

Tak, on — rzecz to widać cichaczem dawno osnuta, i nie pofolguje mi pewno.

ADAM.

Niegodziwiec! Milczał więc, dopóki mógł być jakiś ratunek! Co począć? głowę tracę!

HRABIA.

Nie ma ratunku! potrzeba męztwa! Kochasz Ameliją! Spokojny w ręce twoje los jéj powierzam, ubogi pracą wyrobisz sobie jéj przyszłość, ale ja!! Co pocznę zepsuty szczęściem, rozmarzony spokojem, ścigany zgryzotami! Ha! iść mi z kijem, uczyć gdzieś dzieci lub śpiewać pod kościołem... Nie będę wam ciężarem....

(wychodzi)

SCENA V.

ADAM (sam).

Odwagi! i ja z nim powtórzę! Im cięższe życie, tém wyżéj podnieść się potrzeba sercem i umysłem

ażeby mu podołać! A! jakże mi żal tego zacnego a tak nieszczęśliwego człowieka! Amelja, pewien jestem, zniesie mężnie cios, który ją dotyka, zresztą myśmy dwoje, ale ten starzec! Jak mu tę chwilę osłodzić? co poradzić? — Otóż i ona... wie już o wszystkiem czy nie?

SCENA VI.

ADAM. AMELJA wchodzi z drzwi bocznych powoli, zamyślona ale spokojna.

AMELJA.

Jakże w porę przybywasz, przyjacielu! Wezwany czy poczciwem wiedziony przeczuciem?

ADAM (całując ją w rękę).

Droga Ameljo... moje życie do was należy zawsze... Staję na rozkazy....

(chwilka milczenia)

AMELJA.

Widziałeś ojca?? — Ja wiem wszystko!

ADAM.

A! dzięki Bogu! Wiesz, i widzę cię, jakem się spodziewał, spokojną, wyższą nad cios, który was dotyka.

AMELJA.

Cierpię, ale, jak widzisz, łzy nie uroniłam za przeszłością, tak pewną jestem opieki Bożéj dla ju-

tra!... Ale serce niewieście mimo woli boleje we mnie — nie nad sobą — nad ojcem.

ADAM.

Hrabia prawie w rozpaczy, nie pokazuje jéj po sobie, znać jednak, że znękany straszliwie, bo całą winę tego nieszczęścia przypisuje sobie....

AMELJA.

Wiem i pojmuję, co go kosztować będzie, rozstać się z tém miejscem, ze świętemi jego pamiątkami, z tém wszystkiém, do czego przyrósł i przywykł od tak dawna.

ADAM.

A rozstanie to nieuchronne....

AMELJA (smutnie).

Tak! nieuchronne....

ADAM.

Nigdy w życiu nie bolało mnie tak, że nie mam majątku, mógłbym dziś chętną z niego dla was uczynić ofiarę, pierwszy raz cięży mi ubóstwo moje!

AMELJA.

Bóg nam dał coś lepszego nad bogactwo, Adamie, uczucie obowiązku i odwagę do spełnienia go.

ADAM.

Nie rozumiem cię.

AMELJA.

A ja... nie śmiem ci powiedzieć, co myślę, nie zrozumiesz nawet gdy powiem....

ADAM.

Lękam się zrozumieć.

AMELJA (podając mu rękę).

Kochasz mnie Adamie?

ADAM.

Na co nam słowa? daj mi możność, bym ci to dowiódł — zobaczysz!

AMELJA.

Daję ci ją właśnie... wyrzecz się mnie i pozwól, bym się poświęciła dla ojca!

ADAM.

Ty! dla ojca? nie pojmuję!

AMELJA.

Wiesz zapewne, jaki środek podawał mu ten człowiek?

ADAM.

Ależ to szyderstwo!

AMELJA.

A gdybyśmy ojcu starość spokojną ofiarą mojego... naszego szczęścia zapewnić mogli?

ADAM (zmięszany).

Pani! to heroizm, do którego ja się już podnieść nie mogę. Jestli to próba? nie godzi się na podobną wystawiać takiego, jak moje, przywiązania?

AMELJA.

Właśnie, że wielkiém jest i czystém. Adamie, chcę, byśmy je ubłogosławili ofiarą. Nie znasz tak, jak ja ojca mojego; dla niego opuścić to miejsce, wyrzec się zajęć, do których przywyknął, to prawie śmierć! Chceszże, byśmy naszéj przyszłości na ofiarę zabili ojca?

ADAM.

A! nie mów tego! Wszystko zrobię, co mi każesz: dam życie, krew, pracę życia całego, ale wyrzec się ciebie dla człowieka, który patrzeć na ciebie nie jest godzien — a! to nad siły! Tyś chyba nigdy mnie nie kochała.

AMELJA (smutnie uśmiechając się).

Drogi Adamie! Największy dowód zaufania i miłości daję ci właśnie w téj chwili, bom cię osądziła godnym szczerego wyznania, bom przeczuła, że ty mnie ani o płochość, ani o chciwość, ani o nic, mnie niegodnego nie posądzisz... Nie wiesz zaprawdę, nie znając z bliska tych ludzi, jak wielkiéj

ofiary ta myśl jest nasionkiem, nie wiesz, jak zepsute jest to dziecię folwarku, któremu się na pastwę chcę oddać — jak oni są brudni, ile cierpienia gotuję sobie w przyszłości — ale mój ojciec! mój ojciec!

ADAM.

Godziż się tobie, córce tego człowieka przypuścić, że on, co cię tak kocha, przyjąłby taką ofiarę?

AMELJA.

Dziś, nie — ale jabym go do niéj przygotowała, jabym święte dlań popełniła kłamstwo.

ADAM (smutnie).

Padam przed tobą na kolana! tyś wielka i święta, — ale takiego poświęcenia nikt wymagać, nikt czynić, nikt przyjmować nie ma prawa — sama myśl jego oburza.

Pojmujesz, że to życie w nowém kole, któreby ono stworzyło, — życie długie udręczeń, wstydu, upokorzeń, szyderstwa, rzeczywistości prozaicznéj po tych ideałach cichego szczęścia naszego, któreśmy razem marzyli? Nie! nie! stokroć nie! Nie zdobędę się na siłę, by coś podobnego przypuścić dla ciebie — ty sama, choć mówisz o tém, nie potrafiłabyś podołać ofierze....

AMELJA (ocierając oczy).

Dla ojca, dla mego ojca, Adamie! dla tego, który mi od kolebki był matką, przyjacielem, nauczycielem, opiekunem, któremu winnam wszystko. Adamie — nawet ciebie poświęcić każe obowiązek!

ADAM.

Nie! to tylko dziwaczne marzenie zbolałéj duszy... Pomyśl! zlituj się... Możesz chcieć tego, ale ojciec twój byłżeby tak okrutny, ażeby przyjąć ofiarę? A ja! ja! a! raczéj umrzeć niż pozwolić... Nie mów więcéj.

AMELJA.

Drogi mój, poczciwy przyjacielu, zastanów się, pomódl w duszy i powiedz, jak mam postąpić; wiem, że egoizm nie poprowadzi cię drogą błędną. Od ciebie czekać będę rozkazu, zezwolenia, otuchy, bo nie mam prawa szczęścia nas dwojga poświęcić, tylko własne — a tyś swoje złożył w moich rękach. Bądź moim sędzią, czekam twojego wyroku.

(podaje mu rękę)

ADAM.

To nad siły! daj mi zebrać myśli!

(wychodzi szybko)

SCENA VII.

AMELJA sama, po chwili BOLESŁAW.

AMELJA (zamyślona).

Nędza, to nic — opuszczenie, mniéj jeszcze z takim jak Adam towarzyszem; choćby się nas wyrzekli wszyscy, jak zapierają ubogich i upadłych — ale zniesież ojciec to, co pociąga za sobą ubóstwo? Rozstanie z przywyknieniami całego życia, ze światem, w którego kole doszedł starości? A! gdybym choć godzinę cierpienia oszczędzić mu mogła; powinność skazuje mnie na ofiarę....

(postrzegłszy Bolesława, który zjawia się we drzwiach nieśmiało — wzdryga się)

A! czuję obowiązek, ale na widok téj karykatury sił mi braknie... nawet śmiać się nie mogę....

BOLESŁAW.

Pozwoli pani?

AMELJA (zadając sobie przymus).

Wejdź pan....

BOLESŁAW
(zmięszany, nadrabia fantazją i niezgrabnie przybiera tony salonowe).

Wolno? Chciałbym tylko słówko powiedzieć!

AMELJA (zawsze poważnie i zimno).

Pan wiesz dobrze, że mu nigdy wstęp do na-

szego domu nie był wzbroniony — ale cóż go tu sprowadza?...

BOLESŁAW.

Pewne okoliczności, które... ale to....

AMELJA.

Cóż takiego?

BOLESŁAW.

Gdyby się pani nie gniewała!

AMELJA.

Ja nigdy gniewać się nie mam zwyczaju; mogę czasem śmiać się tylko i litować?

BOLESŁAW.

Litować! bardzo dziękuję! A to gorzéj jeszcze! Ale... pani się nic nie domyśla?

AMELJA.

Nie jestem wcale domyślna....

BOLESŁAW (z uśmiechem).

Kobiety w ogólności, wszystkie są bardzo domyślne.

AMELJA.

Znać, że ja nie mam kobiecych przymiotów....

BOLESŁAW (na stronie).

Nie ma sposobu poufaléj z nią pomówić; taka czegoś straszna... Ale trzeba jéj przecie powiedzieć o co chodzi (głośno) pani nie wie nic!

AMELJA.

Cóż mam wiedzieć? o co idzie?

BOLESŁAW.

O przyszłość hrabiego.

AMELJA.

Jakiż pan możesz z nią mieć związek?

BOLESŁAW.

Prawdziwie, otoż trudno mi wyjaśnić... ale hrabia zapewne musiał pani powiedzieć?

AMELJA.

Dziś rano nie widziałam się jeszcze z ojcem.

BOLESŁAW (trąc czoło skłopotany).

Więc mnie samemu trzeba zgryść ten orzech....

AMELJA (uśmiechając się).

Masz pan dobre zęby! Ale cóż to za orzech?

BOLESŁAW (z głupawym uśmiechem).

Słodki dla mnie.

AMELJA.

Bardzo mu winszuję....

BOLESŁAW (ośmielony).

To bieda tylko, że nie wiem, jakim będzie dla pani.

AMELJA.

Wątpię, żebyś Waćpan chciał się ze mną dzielić tym orzechem — ale cóż to za zagadka... nigdym WPana nie widziała w takiém usposobieniu? mów, proszę....

BOLESŁAW.

Pani jesteś tak dobra... (na stronie) Trudno!...

AMELJA.

Jak czasem....

BOLESŁAW.

Zawsze i dla wszystkich....

AMELJA.

To już komplement — dziękuję.

BOLESŁAW (na stronie).

Ani sposobu, stoję przed nią, jak pod pręgiegierzem. (głośno) Wiadomo pani, że hrabia stracił majątek?

AMELJA.

Wiem o tém; ale cóż z tego?

BOLESŁAW.

Panią to nie obchodzi?

AMELJA.

Bardzo mało dla mnie, bardzo mocno dla ojca.

BOLESŁAW.

A tu... dziwnym trafem, właśnie mój ojciec dorobił się fortunki....

AMELJA.

Bardzo mnie to cieszy....

BOLESŁAW.

I chciałby poratować hrabiego, (z uśmiechem) ale stary mój ma pewne projekta, na które, nie wiem, czyby pani przystała....

AMELJA (smutnie).

Trudno mi się ich domyśleć; nawet, nie chcę się ich dowiadywać — projekta, jakiekolwiekby one były, należą do mego ojca, nie do mnie.

BOLESŁAW (zmięszany).

Pani mi nawet nie pozwoli powiedzieć?

AMELJA (surowo).

Nie widzę potrzeby.

BOLESŁAW.

Ale... dla mnie...

AMELJA.

Dla WPana widzę, że majątek przypadł w samą porę, znać to po jego humorze, minie i mowie.... Zresztą nie zdaje mi się, żebyśmy teraz o tém z sobą więcéj rozprawiać mieli....

BOLESŁAW.

Tak??

AMELJA (skłaniając głową).

Dzień dobry panu!

BOLESŁAW (na stronie).

Odprawiła mnie z kwitkiem.... Ale to jednak nie tak źle poszło, jakem się obawiał... nawet wcale dobrze... (głośno) pozwoli się pani pożegnać?

AMELJA.

Pozwolę....

(kłania się i wychodzi Bolesław)

SCENA VIII.

AMELJA (sama).

Być żoną takiego człowieka, po rojoném szczęściu upaść tak nisko! Boże! dźwignij nas lub dodaj siły... w głowie mi się zawraca, czuję, że mi odwagi braknie. Poświęcić siebie... potrafiłabym

może, ale z sobą poświęcić Adama, to serce tak zacne i przywiązania pełne! Skazać go na długą tęsknotę i życie złamane! Pomódlmy się — Bóg natchnie.

(w chwili gdy klęka ze złożonemi rękami, uchyla drzwi Prokop, patrzy, wchodzi powoli, stajc w progu i pokaszliwa).

SCENA IX.

AMELJA. PROKOP.

PROKOP (ciągle w progu).

Cóż się tu dzieje? Hrabia nasz chodzi, jak oszalały, panienka płacze i modli się, a my nic nie wiemy? To jakieś nieszczęście! panienko!

AMELJA (zrywając się).

Czego to chcesz, kochany Prokopie?

PROKOP
(zakłopotany kłaniając się nisko, ciągle przy progu).

Gdyby panieneczka była łaskawa... choć to nam pewnie nic do tego... ale i my serceć mamy! Coś tu u was jest, o czém my nie wiemy; hrabia smutny, panienka zapłakana — chowaj Boże jakiego nieszczęścia! Wyście zawsze tak dobrzy dla nas byli, my was kochamy, jak rodzonych rodziców — zróbcież łaskę, powiedzcie nam, co was boli? Chło-

pek biedny mało się na co komu zda, ale niechby my choć wiedzieli, jeżeli można.

(kłania się do ziemi)

AMELJA (podchodzi ku niemu).

Któżby o waszém sercu wątpił, moi poczciwi ludzie! Ot, kochany Prokopie, — przyszła godzina rozstania i dla tego nas we łzach widzicie....

PROKOP.

Cóż? jak? Panienka idzie za mąż? No! to chwała Bogu, nie wieczneż to rozstanie!

AMELJA.

A! nie! nie, nie zrozumieliście mnie. My tu już w majątku tak jak nic nie mamy, opuścić was potrzeba, i te miejsca ukochane.... Biedni jesteśmy, ubodzy, wypędzają nas....

PROKOP.

Jakże to może być? a któż nam tu będzie panował?

AMELJA.

Ktoś inny, bogatszy od nas....

PROKOP.

Któż to się ośmieli was ztąd ruszyć? Wy tu lat trzysta od dziadów pradziadów siedzicie z nami,

ojcowie nasi gospodarzyli z waszemi, myśmy dzieci hrabiego, i innego pana znać nie chcemy.

AMELJA.

Poczciwy Prokopie, i nam was żal opuszczać — ale taka wola Boża.

PROKOP.

Tacy dobrzy panowie! mój Boże! niechże nas łaska Boska od tego broni! Nie! tego nie dopuścimy! A któż dla nas będzie takim, jak on był? Z nim i popłakać i poradzić się i pogadać było można, jak z ojcem rodzonym — człek nigdy darmo nie odszedł....

AMELJA.

Będziecie mieli nowego pana... i tego znacie dobrze....

PROKOP (ciekawie).

Kogoż? kogoż? Czy już i to wiadomo?

AMELJA (uśmiechając się).

Mówią, że rządzca Jaczeńko — kupuje.

PROKOP (gwałtownie).

Ten! ten... on panem! A niedoczekanie jego! Wszystkim by nam przyszło poginąć, ten Ancychryst! a! Boże wieczny, choć zawczasu się w grób

położyć.... Nie daj Boże z Iwana pana! Ale to jeszcze nic, bośmy na biedę się rodzili — a cóż z wami się stanie, panienko kochana?... z ojcem waszym ta i naszym, gdzież się wy podziejecie? Jemu na starość być wygnanym ze swojéj pradziadowskiéj chaty — jak on to przeżyje!! Mój ty Boże!
(załamuje ręce)

AMELJA.

I ja, mój Prokopie, myślę o tém z bólem serca... O mnie tu nie chodzi wcale, tylko o niego, o niego! Jemu i téj ziemi i was żal będzie wielki — nie wiem czy on to przeżyje!

PROKOP (zamyślony).

Ale nie! — Pan Bóg sprawiedliwy, to być nie może, nie odda nas w ręce tych oprawców, ani was, coście sprawiedliwymi byli, nie odłączy od nas. To być nie może... Niech no się gromada o tém dowie! pójdę na radę do naszych... my tego nie dopuściemy... Bądźcie dobréj myśli, panienko, Bóg łaskaw... a gromada wielki człowiek.

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

Teatr przedstawia ogród przy pałacu hrabiego, w dali widać budowle. Scieżek parę przecina scenę.

SCENA I.

BARTŁOMIEJ i BOLESŁAW idąc ze stron przeciwnych, spotykają się z sobą.

BOLESŁAW.

A! otoż i tatko!

BARTŁOMIEJ.

To ty? chwała Bogu — na, cóż?

BOLESŁAW.

Widział się ojciec z hrabią?

BARTŁOMIEJ.

A ty z panną!

BOLESŁAW.

A jakże!! No — ale cóż tedy?

BARTŁOMIEJ.

Ja też widziałem się z nim, mospaneńku.

BOLESŁAW.

I powiedziałeś mu?

BARTŁOMIEJ.

Ho! ho! jasno i wyraźnie... nie obwijałem wcale w bawełnę... to są własne moje słowa.

BOLESŁAW.

Jakże to przyjął?

BARTŁOMIEJ.

No! zwyczajnie, mospaneńku, jak się podobną pigułkę przyjmuje; zrzymał się, krzywił, płakał, narzekał....

BOLESŁAW.

A nie łajał?

BARTŁOMIEJ.

Gdzieżby śmiał! pokorny jak baranek... Ciągle tylko do mnie „kochany panie Bartłomieju... kochany mój Jaczeńko"...

BOLESŁAW.

I o tym projekcie ojciec mówił mu także?

BARTŁOMIEJ.

A cóż myślisz? miałem na dwa półmiski rozkładać... powiedziałem....

BOLESŁAW (śmiejąc się).

To przedziwnie! A on?

BARTŁOMIEJ.

Nic... uściskał mnie, wziął to do namysłu... Grackom się zwinął, mospaneńku!!

BOLESŁAW.

Jest tedy nadzieja, że będę mężem hrabianki. A wiesz tatku, że toby było pociesznie! toby ci się udało!

BARTŁOMIEJ

Nadzieja ogromna, że się udać musi... Stary hrabia, jak kot, przywiązany do tego domu i miejsca; ale też to w wielkiéj części zależeć będzie i od ciebie. — Gadałeś ty z nią??

BOLESŁAW (zmięszany trochę).

No... jużciż mówiłem....

BARTŁOMIEJ.

Śmiało?

BOLESŁAW.

Czegożbym się miał bać?

BARTŁOMIEJ.

Prawdę powiedziawszy, mospaneńku, pod zły humor, mogła kazać za drzwi wyrzucić....

BOLESŁAW.

Ho! ho! nie mnie!

BARTŁOMIEJ (patrząc mu w oczy).

Pewnieś ty znowu stał jak trusia? a tu potrzeba się było wziąć do niéj ostro, mospaneńku, one to lubią... obcessowo... nie tracąc czasu, buch do nóg i oświadczyć się....

BOLESŁAW.

Mnie tego uczyć nie potrzeba! znamy się z tem.

BARTŁOMIEJ.

Ale koniec końcem, cóżeś zrobił?

BOLESŁAW.

Ja? com zrobił? Mówiłem w ogólności, przygotowawczo... tak... z ogródką... Naturalnie, była nieco zdziwiona, trochę rozczulona....

BARTŁOMIEJ.

Nie obraziła się bardzo?

BOLESŁAW.

Nie! wcale! Dość to dobrze przyjęła, wcale nawet z siebie i z niéj kontent jestem.....

BARTŁOMIEJ
(uważnie popatrzywszy mu w oczy).

A nie łżesz, kochanku?

BOLESŁAW.

A tatko?

BARTŁOMIEJ.

Patrzcie go! Myślisz, mospaneńku, że ja się ich boję, czy co? Ja tu przecie pan, robię im, mospaneńku, łaskę, jeżeli to proponuję, przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń i stosunki.

BOLESŁAW.

Dobrze przyjął? mówicie?

BARTŁOMIEJ.

Co ja ci się mam szeroko tłómaczyć, dosyć, że ja swojego jestem pewny... ty teraz myśl o pannie.

BOLESŁAW.

O! i ja pewny już jestem!

BARTŁOMIEJ.

No! słowo się tedy rzekło, teraz tylko targu dobijać. Cierpliwości trochę, synku, a będziemy panowali i z folwarku przeniesiem się sobie do pałacu. Ale mi WPan statkuj! pamiętaj! w karty grać przestań, od kieliszka wara, o dziewczętach, do których taki jesteś porywczy, zapomnieć... to panom nie uchodzi, chyba po cichu i w kącie. Widzisz, jak oni żyją, więc *mores*, mospaneńku... i szczelno weźmiemy się do gospodarstwa.

BOLESŁAW.

Cha! cha! to sliczna perspektywa... jak w klasztorze! Niech się tatko o mnie nie troszczy, będę ja wiedział, jak życie uczciwie i wesoło poprowadzić... to już moja rzecz... żeby był i wilk syty i koza cała....

BARTŁOMIEJ.

A ja się wezmę w kupę do majątku! Byli tu tacy Ichmość siermięgowie, co mi okoniem stawali, ale przyszła kréska na Matyska!! Zrobię zaraz ład należyty! Hrabia swoją dobrocią ślamazarną psuł mi i nie dawał się rozporządzać — ja ich nauczę posłuszeństwa... czuj duch! Ekonoma sobie przyjmę, żebym miał kogo łajać, a sam po amatorsku, mospaneńku, to tu, to ówdzie będę bizunem wypłacał należytości. O! będzie tu zaraz inaczéj!

BOLESŁAW.

Jużciż ojcu samemu nie wypadałoby.

BARTŁOMIEJ.

Wiem ja i bez ciebie, co mam robić! panem być potrafię... nie wielka to sztuka! nadmę się i kwita!

(ogląda się i widząc zbliżającego Prokopa)

Ale, otoż patrz, znowu to chłopisko w oczy mi

włazi, aż tu mnie nagnał!! Trochę jeszcze cierpliwości, to ostatki!!

SCENA II.

Ciż sami. PROKOP.

BARTŁOMIEJ.

Darmo mi w oczy nie leź, stary trutniu, mówiłem, mospaneńku, raz że Oleny nie puszczę... to dosyć. Jak mi jeszcze dokuczać będziecie, każę gumiennemu alkiermasem poczęstować.

PROKOP.

Ale ja nie o Olenę, wielmożny panie....

BARTŁOMIEJ.

Czegoż? Jakaż nowa już prośba! Proszą, a proszą!

PROKOP.

Przyszedłem od gromady... wielmożny panie... Niech wielmożny rządzca....

BARTŁOMIEJ.

Rządzca? Tego już nie potrzeba dodawać!

PROKOP.

Niechaj wielmożny pan będzie łaskaw, powie nam, czy to prawda, że hrabia nasz ma nas opuścić!

BARTŁOMIEJ.

O! już wiedzą, mospaneńku, chamy! jaka to u nich policja!

PROKOP.

Mówią, że majątek idzie na sprzedaż?

BARTŁOMIEJ.

A wam co do tego? Jeden pojedzie, drugi nastanie; bez pana nie będziecie, nie bójcie się.

PROKOP.

Taki dobry pan....

BARTŁOMIEJ.

Dobry! a! bo się dawał okpiwać, jakeście sami chcieli. Już to, mospaneńku, ręczę, że takiego drugiego nie będziecie mieli.

PROKOP (wzdychając).

A! to prawda! Ale niechże wielmożny pan będzie łaskaw i powie, jak się to stało?

BARTŁOMIEJ.

Prosta rzecz... tracił, tracił i stracił! — Kupował co niepotrzebne, a teraz potrzebne sprzedawać musi, rozumu nie było, na starość przyszło o kiju wędrować....

PROKOP.

To pewnie dużo tych tam długów na majątku?

BARTŁOMIEJ.

A wam po co to wiedzieć?

BOLESŁAW.

Patrzcie, jacy ciekawi.

BARTŁOMIEJ.

Długów tyle, co majątku!

PROKOP.

Mój Boże! Siłaż to pieniędzy być musi...i jakby tak? wiele?

BARTŁOMIEJ.

Wy tego i nie policzycie, do czego pytać?

PROKOP.

A któż tu u nas będzie panem?

BARTŁOMIEJ (z uśmiechem).

He! no!... a jakby tak ja?

PROKOP
(kłaniając się z udaném i przesadném uszanowaniem).

Wy? Mój Boże! możeż to być!

BARTŁOMIEJ.

Dla czego nie może być?

BOLESŁAW (śmiejąc się).

Dziwuje się głupi.

PROKOP.

E! panu by się zatęskniło zostawszy panem... bo to nie każdy wytrzyma zwłaszcza nie przywykłszy. Cały dzień siedzieć w zamknięciu ubranemu jak od święta, ani się rozpasać, ani krzyczeć, — nie bić, kieliszka wódki nie wypić, — trzech dni byście nie wytrwali!

BOLESŁAW.

Co on plecie? żartuje czy głupi?

BARTŁOMIEJ.

Nie łamcie sobie głowy, damy rady.

PROKOP (z ukłonem).

Mnie, żeby i chcieli panem zrobić, tobym za nic nie został.

BARTŁOMIEJ.

Zwyczajnie, chłopska natura! Ho! ho! mospaneńku, nie taka to głupia rzecz jak ci się wydaje, jest tam i dobre! A ja znowu takim malowanym panem, jak ten wasz hrabia, nie będę... u mnie! rygor i posłuszeństwo być musi. Psuł was i pieścił, ja muszę naprawić, dla własnego waszego dobra. Pobogacieliście, pohardzieli i rozpróżnowali, u mnie tego nie będzie; chłop na to; żeby pracował.

PROKOP.

A pan?

BARTŁOMIEJ.

Na to żeby używał! Sam pan Bóg w piśmie tak przykazał... jest o tém w Dekalogu... ale co ja tu z wami w gawędę się wdaję, a na toku może kradną! Gumienny filut... trzeba iść.

BOLESŁAW.

Chodźmy, bo i ja przebrać się muszę.

(wychodzą.)

SCENA III.

PROKOP (oglądując się za niemi).

Ot, na cośmy przyszli... na ich panowanie i znęcanie się nad nami! a! niedoczekanie wasze! Miałżeby nas Bóg tak pokarać za ciężkie grzechy nasze! Nie, nie! nie dopuści na nas Chrystus tego nieszczęścia... trzeba nadziei, temu hetce nad sobą panować nie damy!

SCENA IV.

PROKOP. OLENA przechodzi z wiadérkiem w ręku.

PROKOP.

Stój no! Oléno! posłuchaj!

OLENA.

A! to wy ojcze... a ja was szukałam na przy-

gumieniu. Mówili mi, że was widzieli koło dworu, pilno mi było rozmówić się z wami.

(całuje go w rękę.)

PROKOP.

Dobry dzień, Olenko!

OLENA.

A cóż? nie puszczą oni mnie?

PROKOP.

Jeszcze mi nałajał i naodgrażał się, żem do Pana o to chodził.

OLENA.

I mnie się dostało.

PROKOP.

Ale no! kto mądry ten cierpliwy.

OLENA.

Nie wiecie, jaka we dworze pogadanka?

PROKOP.

Jest co nowego?

OLENA.

Stary pan chodzi, jak przybity, panienka nasza płacze, pan Adam jéj narzeczony się desperuje... gadają, że naszych panów chcą z majątku wypędzać! Czyż to może być? powiedzcie?

PROKOP (smutnie).

Wszystko złe na świecie, może być!

OLENA.

I gorzéj jeszcze, bo mówią, że Rządzca mą panować.

PROKOP.

Gadają, ale tego to nie będzie. —

OLENA.

Mnieby za świat uciekać przyszło!

PROKOP.

Co tobie, to i nam wszystkim!

OLENA.

A mnie gorzéj, niż innym.

PTOKOP.

Czemu? Co, to oni ciebie tak nie lubią?

OLENA (spuszcza oczy).

Gdyby już choć nie lubili. —

PROKOP.

A cóż? mów no! to coś nowego!

OLENA.

Oj! nowego! nowego! Dla tego to mnie oni wypuścić nie chcą, bo syn Jaczeńki podmawia i jak cień się za mną włóczy... Pokoju mi nie daje, a Iwaś mi nim oczy wypieka.

PROKOP (trzęsąc głową).

To tak!! Iwaś głupi, a ten młokos nie poczciwy. Ale czemużeś ty mi tego nie powiedziała wprzódy?

OLENA.

Nie było was czém kłopotać! Myślałam, że się i tak odemnie odczepi... ale już i rady sobie z nim dać nie mogę.

PROKOP.

No! może nie długo cierpieć... Cicho! Pan Bóg nas wyzwoli. Nie zachodź tylko w drogę ekonomczukowi i umykaj od niego.

OLENA.

Gdyby nie ganiał się za mną.

PROKOP.

A Iwasia już ja rozumu nauczę...

OLENA.

Tst! tst! otoż nasza panna! patrzcie jak idzie smutna... aż patrzeć serce się kraje —

PROKOP.

Odejdźmy!

(wychodzą.)

SCENA V.

AMELJA sama.

— Milcz biedne serce, precz nadzieje moje — obowiązek przedewszystkiém! Adam przecierpi, zapomni, ja przeboleję lub umrę, ale dla ojca starość okupim spokojną. Nie mówi mi nic, nie przyznaje się, ale cierpi mocno, dla niego nowe rozpoczynać życie, byłoby nad siły.

A! czyż tak straszne są ubóstwo i praca, jak nam je malują! Jabym się ich, sparta na ręku Adama, nie ulękła, anibym płakała po dostatkach. Tu, czy gdzie indziéj, z niemi dwoma wszędzieby mi było dobrze... Tęsknilibyśmy za naszą kolebką, ale któż nie jest wygnańcem i kto z nas nie tęskni?

(Adam ukazuje się w głębi.)

Odwagi! Za niego i za siebie mieć mi ją potrzeba!

SCENA VI.

AMELJA. ADAM.

AMELJA.

Przyjacielu! widziałeś mojego ojca?

ADAM.

Od niego idę.

AMELJA.

Jakże go znalazłeś?

ADAM.

Smutnym i pogrążonym, powtarza, że własne cierpienie nic go kosztować nie będzie, ale —

AMELJA.

Aleś uważał, jak zmieniony? jak strasznie ciśnięty. — Nic mi nie chciał dotąd powiedzieć, udawałam przed nim, że nie wiem o niczém; usiłował być ze mną wesołym, a ciągle miał łzy w oczach.

ADAM.

Możnaż się tak przywiązać...do martwéj ziemi! do jednego ciasnego kątka!

AMELJA.

A! nie obwiniaj go! Serce to potrzebowało przywiązania, musiało kochać i pokochało nawet ściany nieme i żałosne wspomnienia. Wierz mi, Adamie, kto swéj ziemi nie kocha, ten nic kochać nie będzie — ta miłość jednoczy w sobie wszystkie. Rodzinny kątek, to symbol ojczyzny... I ja zapłakałabym wygnana z téj cichéj ustroni, gdzie mi tak swobodnie upłynęła młodość moja... gdzie poznałam ciebie.

ADAM (gorzko).

Niewolnicyśmy zawsze — nawet szczęście przeszłości wkłada na nas pęta.

AMELJA.

Szczęście! szczęście! mój Adamie, to może tych kilka chwil spokojnych, któreśmy z sobą przebyli, z nadzieją przyszłości — innego nie ma podobno!

ADAM.

A! inne być mogło!

AMELJA.

Drogi przyjacielu, byłożby to szczęście, gdybyśmy je łzami, lub życiem cudzem okupić musieli? Cierpienie ojca byłoby dla nas wiekuistym wyrzutem.

ADAM.

Ofiary, ach! strasznéj wymagasz po mnie ofiary! Jeszcze raz, Ameljo, czy możesz sądzić, że ojciec ją przyjmie, że ten zacny człowiek, którego serce znasz dobrze, zechce szczęściem córki okupić kilka lat spokoju? Taka ofiara byłaby barbarzyństwem, a człowiek, któryby się ją przyjąć ośmielił....

AMELJA (przerywając mu).

Milcz! na Boga! proszę cię, nie mów, nie sądź! Godziż się nam kogokolwiek potępiać, my cośmy ludzie i słabi? Na nikogo nie rzucajmy kamieniem, bo kamień ten na piersi naszéj ciężyć będzie!

ADAM.

Każesz, milczę....

AMELJA.

A! to nawet milczenie nakazane, wymówką bolesną jest dla mnie, bo ty mnie nie rozumiesz, Adamie! nie chcesz pojąć moich obowiązków i konieczności i słodyczy téj ofiary dziecięcéj.

ADAM (z uczuciem).

Aniele mój drogi, istoto wielka i święta! ja cię pojmuję, rozumiem, wielbię, zdumiewam się nad tobą, ale nie mam siły, by się podnieść do twojego heroizmu. Miłość moja większą jest nad uczucie obowiązku, przyznaję się do słabości; poświęcę siebie... ale ciebie!

(zakrywa oczy)

Zabijasz mnie, tak chłodno, tak rozmyślnie, tak nielitościwie....

AMELJA (żywo).

Ale powiedz mi, na Boga, czy inaczéj godną bym była czystego, poczciwego przywiązania twojego? Ty sam nauczyłeś mnie, że osią, na któréj się świat obraca, jest poświęcenie, ty sam wszczepiłeś we mnie ideę ofiary. Nie, Adamie, nie godzi się nam myśleć o sobie, patrząc na łzy jego; podajmy sobie dłonie i powiedzmy: do zobaczenia! kto wie... może nie na téj ziemi....

(ociera oczy)

ADAM.

Milczę więc! Spełniam rozkaz, ale nie tracę nadziei! To coś strasznego i poczwarnego jak sen chorobliwy... Pan Bóg ofiary tak okrutnéj dopuścić nie może, ojciec ją odrzuci.... Ja! oszaleję z bólu! A! nie! nie! niepodobna, by się to stało! Ameljo! gdzież twoja miłość dla mnie? gdzie przysięgi nasze? W imie ich, wzywam cię, opamiętaj się, błagam, nie gub nas wszystkich...

(przyklęka)

AMELJA (żywo, podnosząc go).

Adamie! Adamie! jam kobieta i słaba! kocham i cierpię! zlituj się nademną! Chciałżebyś uczuciem sprowadzić mnie z drogi, na któréj twojego potrzebuję wsparcia? Pójdę więc posłuszna twojéj woli i mojemu sercu, ale....

ADAM.

Ojciec nie przyjąłby takiéj ofiary!

AMELJA.

Wiem o tém, jeźli w niéj ofiarę zobaczy, nie przyjmie; ale ją trzeba uczynić w oczach jego maluczką, zmniejszyć, ukryć, skłamać święcie, by dokonać prawdy!

ADAM.

Milczę... na to już słów nie ma... jedno tylko...

Tyś była gwiazdą biednego sieroty, znikasz ty, coś mnie prowadziła, opuszczasz, aniele stróżu; powiedzże co mam zrobić z sobą? Życie, praca, nie mają dla mnie celu... Dokąd mam iść? co począć z sobą? jak dobić się końca?

AMELJA (silnie).

Cierpieć, modlić się, pracować. W tych trzech słowach zamyka się cała nauka życia i całe szczęście jego. Adamie daj mi rękę....

(ściska w milczeniu)

Bądź zdrów... odejdź! zostaw mnie samą... cierpię straszliwie! Idź, idź! zobaczym się jeszcze!

(Adam patrzy na nią długo z boleścią i powoli odchodzi. W tejże chwili prawie z drugiéj strony ukazuje się hrabia z głową spuszczoną, idący błędnie, prawie nieprzytomny).

SCENA VII.

AMELJA. HRABIA.

HRABIA (nie postrzegając córki).

Szukam jéj i znaleść się boję... Jak jéj to powiem? jak się przyznam, że z mojéj winy spotka ją nędza, upokorzenie, wygnanie? Jak jéj oznajmić to nagłe przejście z dostatku i spokoju do troski i ubóstwa, które nie wie gdzie jutro głowę położy? Biedne dziecię! Gdybym życiem mojém mógł tę winę zagładzić! ale na cóż się komu przyda ta nę-

dzna resztka niedołężnego żywota? Umrzeć nawet nie umiem w porę!

AMELJA
(zbliża się do ojca udając wesołość).

Co za śliczny dzień, kochany ojcze!

HRABIA (postrzegłszy ją).

Piękny dzień? powiadasz — doprawdy? nie wiem.

AMELJA.

Zdaje mi się, żeś nie zupełnie zdrów?

HRABIA.

Sam nie wiem, co mi to jest! Istotnie... jakoś się czuję niedobrze! (na stronie) Jak jéj to powiem!

AMELJA.

Bo ojciec nadto się zapracowuje, zbyt siedzi... a to siedzenie nad książkami nieustanne, szkodzi zdrowiu jego... Samotność męczy, trzebaby się rozerwać, przejechać.

HRABIA.

Mnie? rozerwać się! (z uśmiechem gorzkim) Biedne, poczciwe dziecię moje, czyżem ja wart twoich pieszczot i starań koło mnie!

AMELJA.

Ojcze mój? zkądże tak bolesne słowa? Któż więcéj godzien tego nad ciebie? Tyś mi był wszyst-

kiem, ojcem, matką, bratem, nauczycielem; tobiem winna, że dziś jasno widzę drogę życia przed sobą, że niezmącony spokój czuję w duszy... tobiem winna, żem choć trochę ciebie godna....

HRABIA (na stronie).

Nie potrafię jéj wyznać. (głośno) To ty, mój aniele, byłaś i jesteś mi wszystkiem na świecie. Straciwszy twoją matkę, nie chciałbym był życia, gdybyś ty mnie nie przywiązała do niego. Dla ciebie ten ciężar przyjąłem i nosiłem go i lekki mi był...

(wybuchając)

Alem nie potrafił podołać obowiązkom i zdradziłem cię nikczemnie....

AMELJA.

Ty! mnie! kochany ojcze! (z uśmiechem) Cóż to dziś za humor tak czarny?

HRABIA.

I dzień czarny... Od owego strasznego dnia, w którym straciłem matkę twoją, to drugi....

AMELJA.

Przerażasz mnie, kochany ojcze!

HRABIA.

Męztwa! dziecię moje, uzbrój się, nie mogę

dłużéj taić przed tobą; staję jako winowajca, który się sam obwinia...

(z wysiłkiem)

Jesteśmy zrujnowani! Jutro może wypędzą nas z tego domu, jutro przyjdzie rzucić ten kątek spokojny... na zawsze... Groby ojców i wspomnienia całego życia oddać w ręce obcych i zimnych ludzi, którzy nie poszanują niczego....

AMELJA (udając obojętność).

Wygnają nas? No, to cóż to tak bardzo strasznego? Świat szeroki, a Bóg opiekun wydziedziczonych!

HRABIA (zdziwiony).

Jakto? nie płaczesz? nie dziwisz się? nie lękasz?

AMELJA.

Zapłaczę... może — ale się nie zlęknę... Pozwól tylko ojcze, bym jeszcze nie zupełnie wierzyła słowom twoim; przestrach cię próżny ogarnął, ruina nasza nie może być tak nagłą i zupełną; coś nam przecie pozostanie, znajdziemy przecie sposób jakiś utrzymania się choćby przy tym tylko domu i starych drzewach naszych.

HRABIA (śmiejąc się gorzko).

Sposób!! A! jest w istocie! Niepoczciwi! Podają

nam właśnie środek do tego, aby się naszemu upadkowi urągać i dopełnić kielicha goryczy....

AMELJA.

Ojcze kochany, ty wszystko widzisz tak czarno....

HRABIA.

A ty to przyjmujesz tak obojętnie, nic cię nie przeraża, nie obchodzi?

AMELJA.

Uczyłeś mnie być przygotowaną na wszystko, co ześle ręka Boża....

HRABIA.

Twój spokój i mnie sił dodaje, czuję w sobie jakąś otuchę.... Dla ciebie tylko obawiałem się ubóstwa i wygnania.

AMELJA.

Ja się go lękam dla ciebie mój ojcze... młodość ma siły, których życie pozbawia.

HRABIA.

Prawda, na starość wszystko cięższe do zniesienia, ale przynajmniéj nas nie rozdzielą....

AMELJA.

Pójdziemy razem. Ale jestżeś pewny, że tak źle stoją rzeczy? Mówiłeś, że jakiś sposób i ratunek nam podają?

HRABIA.

Nie mów o tém! ohydny!

AMELJA.

Ale cóż to być może?

HRABIA.

Uszu twoich nie śmiem tem kalać!

AMELJA.

Coś strasznego? prawdziwie, jestem ciekawa!

HRABIA.

Wiesz kto tu ma być naszym następcą?

AMELJA.

Któż to taki? kochany ojcze?

HRABIA.

Ten... gbur Jaczeńko... Zebrał tyle grosza, że się już kusi o nabycie naszego majątku, ponabywał długi, oplątał nas wcześnie. On to dziś przyniósł mi tę wieść, któréj zbliżanie się jam dawno przeczuwał, ale jéj dożyć nie chciałem.

AMELJA.

Rządzca? Ale zdaje mi się, że to nie jest tak bardzo zły człowiek... prosty, gburowaty, trochę popędliwy, w gruncie jednak....

HRABIA.

Anielskie serce twoje i na obronę tego zdrajcy cośby znalazło.

AMELJA.

Ale jakiż ci sposób podawał... niczém gardzić niepotrzeba.

HRABIA.

Raczył mi litościwą rękę podać!

AMELJA.

Zawsze to dowód jakiegoś uczucia.

HRABIA.

Zuchwalstwo! urągowisko straszliwe....

AMELJA.

Nie mogłażbym wiedzieć?

HRABIA (wahając się).

Nie mam siły się rozśmiać, ale serdecznym, konwulsyjnym śmiechem zaryczéćbym powinien na to ostatnie losu szyderstwo... Ten człowiek śmiał... nie! nie!... tyś nawet wiedzieć o tém niepowinna.

AMELJA (z dumą).

Twoja córka!! Wszakże potrafię znieść co mi los przeznaczy! Któż wie zresztą, tobie się to gorz-

kiem i bolesnem wydać mogło, co nas zbawić może, coby ci oszczędziło cierpienia. Chyba zwątpiłeś już i o mnie?

HRABIA (na stronie).

Nic nie wie, nie domyśla się nawet!

(głośno)

Posłuchajże i rozśmiej się ze mną, bo to chyba śmiéchu warte, ośmielił się — rękę swojego syna i dziedzica ofiarować tobie....

AMELJA (obojętnie).

Trochę śmiesznie w istocie, ale ten pan Bolesław... Są na świecie i gorsze od tego małżeństwa!

HRABIA (żywo).

Jak to? nie widzisz monstrualności téj myśli, która mnie dobiła? On śmiał!!...

(cofa się gwałtownie)

AMELJA (łagodnie).

Sam przecie, kochany ojcze, mówiłeś nam tyle razy o tych przesądach, których się pozbyć potrzeba....

HRABIA.

Ty to nazywasz przesądem! Ale ja nie pochodzeniem i ubóstwem, nie imieniem i rodem, ja człowiekiem się brzydzę... Nie możesz mi odjąć tego

wstrętu, jaki czuję do tych ludzi, z niczego wyszłych i niczego nie wartych. Kochaj sobie ubogiego syna chłopskiego, któryby wart był ciebie, pobłogosławię, zamulona lemieszem dłoń warta stwardniałéj od szabli — ale pan Bolesław!!

AMELJA (po chwili).

Ale gdyby to ciebie, nas, ocalić mogło?

HRABIA.

Jak to? przypuszczasz?

AMELJA.

Nie widzę w tém nic tak okropnego. Kto wie, człowiek ten możeby się mógł wykształcić?

HRABIA (zdziwiony).

Nie pojmuję... kochasz Adama....

(Amelja milczy)

Śmierć nie byłaby straszniejszą, nad myśl pożycia z takim rozpuszczonym chłystkiem, pełnym zarozumiałości i samolubstwa, którego serce nigdy szlachetniejszem nie uderzyło uczuciem... a myśl nie dźwignęła się nad błoto, z którego wyrósł!

AMELJA (cicho).

Winno temu trochę towarzystwo, wpływy które go otaczały... ale czyżby się w innem kole nie mógł wykształcić?

HRABIA (coraz bardziéj zdziwiony).

Dla czegoż go bronisz? Kochasz Adama, dałaś mu słowo, jesteście zaręczeni, a to do niczego nie podobne.

AMELJA (zmięszana).

Życie nie może się obejść bez ofiar.

HRABIA.

Tylko nie tego rodzaju! Dziś pierwszy raz nie poznaję cię i nie pojmuję, Amelciu kochana... Ani łzy! ani oburzenia, ani podziwu nawet! Mnieby piorun więcéj nie przeraził! Fe! nie mówmy o tém nawet, to usta wala! Wypędzą nas. No, to pójdziemy, umrę gdzie w drodze z tęsknicy, ale spokojny o ciebie, bo Adam ci ojca zastąpi....

SCENA VIII.

Ciż sami. PROKOP, OLENA, IWAŚ kozak wpadają pomięszani i cisną się do hrabiego, postrzegłszy go.

PROKOP (z oburzeniem).

Jeszcze on tu nie pan, żeby się tak rządził?

OLENA (płacząc).

A! ratujcie nas, ratujcie!

HRABIA.

Cóż się to stało?

PROKOP.

Bieda, Jasny panie!

IWAŚ.

To tak było....

OLENA.

Ja nic nie winna....

(razem wszyscy)

PROKOP (do swoich).

Cichoż bo dzieci, ja Jasnemu panu sam rozpowiem jak to było....

IWAŚ.

Jabym lepiéj może potrafił, bo wyście tam nie byli....

OLENA (trącając go).

Milcz to Iwasiu... ojciec lepiéj wie, jak do panów gadać....

IWAŚ (do Oleny).

A ja! myślisz, że nie potrafię? umiem i ja!

HRABIA.

Mów no, mów, mój Prokopie; co to tam za nowa bieda, bo jedna nigdy nie dokuczy....

PROKOP (kłaniając się).

Wszystko to przez tego przeklętego, z pozwoleniem pańskiem, rządzcę, który dziś, czy go jakiś

giez pokąsał, rządzi się by szara gęś, rzuca po wsi i dworze i kaduk wie, co sobie za państwo wymyślił!

OLENA (przerywa).

Iwaś, proszę Jasnego pana....

IWAŚ (do Oleny).

Widzisz! sama przerywasz ojcu! a niechże on już gada!

PROKOP.

Wiadomo Jaśnie panu, że oto tu córka moja zmówiona z Iwasiem, zapiliśmy zrękowiny, w zapusty myślałem im sprawić wesele....

IWAŚ (pokazując na siebie).

Niby to ze mną, proszę Jaśnie pana.

(całuje hrabiego w rękę, potem Amelję)

HRABIA.

Cóż to komu może szkodzić?

PROKOP

Musi coś szkodzić temu rządzcy... bo cośmy go naprosili, żeby Olenę wypuścił na wici do chaty, nawet Jasny pan dysponował; nic nie pomogło... Wszystko widać przez tego synka faworyta, który wziął się umizgać do Olenki... Otóż i dziś

HRABIA (z oburzeniem).

Śliczny mi kawaler!

(Amelja powoli odchodzi w lewo i znika)

PROKOP.

Dziś tedy Olenka wyszła z wiadrami po wodę do krynicy co za ogrodem. Panicz musiał przewąchać i przyszedłszy, już go tam znalazła. Chciała, zobaczywszy, zaraz uciekać, ale on nagle przyskoczył do niéj i w pół porwał. Iwaś już widać musiał tę biedę mieć na myśli.

IWAŚ.

Widziałem go, że siedział u krynicy... zaraz podumałem, że nie darmo... Siadłem i ja w krzaku, bo mi coś gadało, że czy nie na moją on czatuje... chciałem się przekonać....

OLENA (trąca go).

Ależ cicho! niech ojciec sam gada!

PROKOP.

Dosyć, że ekonomczuk, choć mu się wyrywała i krzyczała, chiał ją gwałtem pocałować; a Iwaś w samą porę zjawił się z drągiem na ratunek.

HRABIA (uśmiecha się).

A! *Deus ex machina!*

IWAŚ (przerywając).

Nie machina, proszę Jaśnie pana, i nie żaden

drąg... ot... miałem tylko to biczysko... Bóg świadek... biczysko....

PROKOP.

Narobił wrzawy....

HRABIA.

Uderzył?

PROKOP (skrobiąc głowę).

Podobno go tam trochę pociągnął!

IWAŚ (skromnie).

On mówi, że pociągnął... bo to takie delikatne! Ja machnąłem tylko w powietrzu, jakby wróble od prosa odganiał... Ten w krzyk, że ja go biję... a doprawdy, że ni bić, ni zabijać nie chciałem....

PROKOP (hardo).

A cóż to oni sobie myślą! na dzieci nasze napadać, jak jastrząb na kurczęta; na sromotę je sobie brać do dworu... A! niedoczekanie ich! Teraz ty nas ratuj, panie nasz... wielki gwałt... Iwasia chcą brać w dyby i rekruty... Rządzca krzyczy na bunt....

HRABIA (zmięszany).

Ale cóż ja wam poradzę? co ja mogę?

PROKOP.

Przecież ty tu panem jesteś; powiedz tylko słowo, a i ekonoma i ekonomczuka zwiążemy....

HRABIA.

Na Boga! zlitujcie się, on mścić się będzie! ja tu już panem nie jestem... Niech Iwaś ucieka, niech się Olena schowa... co ja wam tu poradzę, sam tu nie długo... i mnie wypędzają!

PROKOP.

E! e! co to mówić! z tego nic nie będzie!

HRABIA (dobywając pieniędzy).

Oto macie... bierzcie co mam... uciekajcie przed pierwszym gniewem, ja z nim pomówię, ułagodzę go; ochłonie... i nie dozwolę waszéj krzywdy.

IWAŚ (wyciąga rękę).

Dziękuję Jasnemu panu, chodźmy Olenko!

PROKOP (odwracając go).

A wstydź się, brać pieniądze! czy ty oszalał! Jemu one potrzebniejsze niż nam... nie masz to młodych rąk? chleb znajdziesz....

IWAŚ (całując w rękę hrabiego).

Prawda batku! nie godzi się! Jest jeszcze groszak w kaletce... z głodu nie pomrzemy... Pójdę młócić na futor do Lacha, tam mnie przecie nie wezmą....

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

Teatr przedstawia podwórko przed folwarkiem jak w pierwszym akcie, tylko stół wyniesiony.

SCENA I.

BARTŁOMIEJ. BOLESŁAW.

BARTŁOMIEJ (chodzi gniewny).

Gadajże mi, mospanenku, jak to było, bo to cały ten rejwach z twojéj przyczyny! A nie mówiłem ja tobie sto razy, tysiąc razy! moralność! moralność! po co się do dziewcząt umizgać, kiedy są mołodyce! Ale ty zawsze swoje!

BOLESŁAW.

Cóż ja tam tak bardzo strasznego zrobiłem! No! chciałem ją — pocałować....

BARTŁOMIEJ.

Tém gorzéj! Dla chłopskiego buziaka awantury

robić, to już ostatnie głupstwo! Wy zawsze mówicie, że ja głupi, otóż macie wasz rozum....

BOLESŁAW (skwaszony).

Niechże już ojciec da pokój wymówkom!

BARTŁOMIEJ (gniewny).

Gadaj do krocset, jak to było!

BOLESŁAW.

Cóż tu mówić? Chodziłem po ogrodzie; zaszedłem do krynicy, przypadkiem, a licho ją tam przyniosło....

BARTŁOMIEJ.

Wszędzie, gdzie ona pójdzie, ty musisz być jakimś przypadkiem, to tak jak onegdaj w pasiece, a wczoraj w sadzie....

BOLESŁAW.

Tylko com się do niéj żartem zbliżył, ta w krzyk, a ten łajdak Iwaś wyleciał z krzaków z kijem i jak mnie...

BARTŁOMIEJ.

A to bunt wyraźny! to świętokradztwo! porwać się na mojego syna, na potwierdzonego szlachcica... cham... Cóż? zamierzył się...

BOLESŁAW (smutnie).

I jak mnie palnął — pewnie siniec będzie.

BARTŁOMIEJ (żywo).

Cicho trutniu! cicho! Trącił chyba nie chcący... Nie przyznawajże się, że cię chłopisko biło! Dosyć trącenia... zamierzenia się... pójdzie w dyby i w rekruty!

BOLESŁAW.

I osiec go potrzeba porządnie!

BARTŁOMIEJ.

O! to się rozumie, mospaneńku, bez tego nie będzie! Alkiermesu mu nie pożałujemy! posłałem na wszystkie trakty łapać ich i ścigać, Olenę także....

BOLESŁAW.

Jéj nie ma za co karać.

BARTŁOMIEJ.

Jak to? gdyby była nie krzyczała i nie podniosła zuchwale głosu przeciwko pańskiemu dziecku.... Po co krzyczała! jak śmiała krzyczeć! to niedarowane zuchwalstwo....

BOLESŁAW.

Proszęż jéj dać pokój.

BARTŁOMIEJ.

Bizun nigdy nie zaszkodzi, skromniejszą będzie na przyszłość. Prokopowi także, jéj ojcu, nie zawadzi wysypać...

BOLESŁAW.

Jak to? i Prokopowi?

BARTŁOMIEJ.

To moja metoda, mospaneńku; całą semją ich przetrzepać, niech jeden drugiego uczy i pilnuje, żeby głupstwa nie robili... tymczasem tylko niepotrzebnie roztarabanią po wsi, roztrąbią, hrabia się dowie, hrabianka także... będą się śmiać, wystrychną cię na dudka. Nie w porę do licha te waszecine śmierdzące umizgi.

BOLESŁAW.

Co tam za umizgi! zwyczajnie chciałem sobie z chłopką pożartować.

BARTŁOMIEJ.

A oni bałwany na żartach się nie znają, i zaraz do kija biorą... Mówicie, żem ja głupi! ej! ej! trzeba jednak mnie było słuchać! Moralność! moralność przedewszystkiém. Rób sobie co chcesz, byle nikt nie wiedział. Z Panem Bogiem rachunek, to waścin interes, a z ludźmi — bieda!

SCENA II.

Ciż sami, dwóch dworskich przyprowadzają PROKOPA z rękami w tył związanemi.

BARTŁOMIEJ (zacierając ręce).

Ot już jest jeden ptaszek! (do Bolesława) idźże ty sobie, a nie przeszkadzaj mi!

(Bolesław śpiewając choć kwaśny odchodzi na folwark).

BARTŁOMIEJ (do Prokopa).

Aha! jesteś tedy kochanku!

PROKOP (spokojnie).

Alboż ja uciekałem? Sam nie wiem po co i za co mnie tu związanego przyprowadzono.

BARTŁOMIEJ.

Nie wiesz??

PROKOP.

Cóżem ja wam winien?

BARTŁOMIEJ.

A ta historja u krynicy, mospaneńku, twojéj Oleny i Iwasia... wiesz? poszli sobie na schadzkę; nie moralnie, nie pięknie; mój syn ich tam złapał i chciał rozpędzić, żeby nie było zgorszenia, a Iwaś mu... nagadał!!

PROKOP.

Nic o tém nie wiedziałem... Ależ oni zaręczeni z sobą, nie było w tém nic tak złego.

BARTŁOMIEJ.

A moralność, bydlęta! a moralność! Mój syn pilnuje moralności! Słyszysz!

PROKOP

Słyszę... ale nie wiem o co chodzi.

BARTŁOMIEJ.

Olena gdzie jest?

PROKOP.

Pewnie we dworze.

BARTŁOMIEJ.

Uciekła! uciekła! W chacie u was być musi; zaraz mi ją wydać!

PROKOP.

W chacie jéj nie było i nie ma; nie wiem, coście z nią zrobili.

BARTŁOMIEJ.

Pewnie ją ukrywacie, przewąchawszy, czém to pachnie... i Iwasia także.

PROKOP.

Cóż Iwaś tak bardzo przewinił, że się ujął za siebie i Olenę, że nagadał...

BARTŁOMIEJ.

Jak to nagadał? Porwał się!! Słyszysz, porwał

się na mojego syna, na krew szlachecką! To kryminał, to świętokradztwo!

PROKOP
(z udanym strachem, łamiąc ręce).

Co? uderzył, broń Boże!

BARTŁOMIEJ (jąkając się).

Nie uderzył — nie, mospaneńku... ale... trzymał kij w ręku!

PROKOP (zawsze z udanym strachem).

Przecie nie trącił?

BARTŁOMIEJ.

Nie! nie! nie! Alboż to nie dosyć, że trzymając kij, patrzał się na niego? To kryminał! Wy go ukrywacie tego zbrodniarza, drugi kryminał! Wszyscy ufacie w hrabiego, a on tu już od dziś dnia nie pan, ja tu pan! Słyszycie! syn mój panicz! a co pan i panicz rozkazują, święte jest! rozumiesz!

PROKOP (kłaniając się).

Rozumiem!

BARTŁOMIEJ (ułagodzony).

Rozwiązać go! Idź mi zaraz i żebyś natychmiast Olenę i Iwasia wyszukał; a nie, to ci się klnę, mospaneńku, na moje szlachectwo, jakem po-

twierdzony przez Heroldją, że wszyscy co do nogi dostaniecie alkiermesu, ty, syn, synowa, córka, parobcy... dziewczęta... i nikogo nie minie.

(PROKOP kłania się, wciąż drwiąco i powoli drapiąc się w głowę wychodzi w głąb przez sztachety.)

SCENA III.

BARTŁOMIEJ (sam).

A teraz do roboty, panie Jaczeńko, niechaj sąd zjeżdża, niech opisują, niech sprzedają, ty kupuj! Hrabia niech sobie daje rady jak chce, nasze panowanie się zaczyna...Tak! Innéj wódki jak słodką kminkówkę odtąd pić nie chcę, precz z siwuchą... Sprawię sobie u Mordka frak granatowy, kupię kapelusz i rękawiczki, laskę... Może nawet wypadnie wąsy ogolić a podbródek zapuścić na przypadek gdyby przyszło przywdziać mundur obywatelski.

Chce hrabia z nami się skolligować? dobrze! nie? drugie dobrze, mospaneńku... Żeby jeszcze ten Boleś miał choć troszynę rozsądku, ale go po francuzku nauczyli, a sensu nie mogli! Ot teraz z tą Oleną... tfu! wlazł mi nie w porę... a mówiłem zawsze moralność! moralność, mospaneńku... otoż jak posłuchał, rozpustnik jakiś!

(Zobaczywszy z dala nadchodzącego hrabiego, Bartłomiéj powoli przybiera mimowolnie coraz pokorniejszą postać.)

SCENA IV.

BARTŁOMIEJ. HRABIA smutny i poważny.

HRABIA.

Mości Bartłomieju!

BARTŁOMIEJ (na stronie).

Patrzcie jak sobie woła!

(głośno)

Słucham jaśnie panie!

(na stronie)

Głupstwo! po co mam go jeszcze słuchać, kiedym ja sam już pan? No! do czasu trzeba jeszcze udawać ekonoma.

HRABIA.

Proszę mi zebrać i przygotować wszystkie rachunki, spis moich długów, należności ludzi dworskich... posłać po plenipotenta...

BARTŁOMIEJ.

Wszystko gotowe, a plenipotent niepotrzebny... umarłemu kadzidło! tak z nim jak bez niego kiedy pieniędzy niéma.

HRABIA.

Ja waćpanu mówię!

BARTŁOMIEJ (pokorniejąc).

Słucham jaśnie panie. (na stronie) A taki muszę słuchać choć nie chcę!

HRABIA (surowo).

Waćpan się tu coś rozporządzasz zawcześnie, dajesz sobie tony nieprzyzwoite! Możesz nabyć mój majątek, ale dotąd nie jesteś tu jeszcze niczém, tylko moim rządzcą...

BARTŁOMIEJ.

Przepraszam pana hrabiego!

HRABIA.

Jakto? czy już kupiłeś bez mojéj wiedzy? a to by było ciekawe?

BARTŁOMIEJ.

Nie, ale jestem wierzycielem jedynym, mam dekreta i administracją na majątku na imie przyjaciela...Dysponować mogę dopóki nie sprzedam i nie kupię z licytacji — z przeproszeniem jaśnie pana... (prostuje się)

HRABIA (popatrzywszy rusza ramionami).

A kiedyż mnie wypędzisz?

BARTŁOMIEJ (mięszając się).

Hm! hm! Ja się nie spodziewam żeby do tego przyszło.

HRABIA (szydersko).

Co za delikatność!

BARTŁOMIEJ.

W istocie, proszę hrabiego rozważyć, że ja je-

dynie przez *dylikatność* podaję taki sposób, żeby był i wilk syty i koza cała.

HRABIA.

Wilk syty w istocie, ale kozę zjadł dawno... niema co mówić, środek znalazłeś doskonały.

BARTŁOMIEJ.

Nie chwaląc się, mospaneńku, projekt mojéj własnéj głowy... choć nieboszczka zawsze mi mówiła żem głupi!

HRABIA.

Świeć panie nad jéj duszą, podobno miała zupełną słuszność, mój Jaczeńko, zawszem i ja tak myślał, choć nie wyobrażałem sobie, żebyś do tego stopnia oszalał. Proszę cię, mimo że cierpliwy jestem, nie próbujże mi tego drugi raz powtarzać...

BARTŁOMIEJ.

Słucham, jaśnie panie. (na stronie) Czego ja mam słuchać? (głośno) to jest... z pozwoleniem hrabiego... przecież... dla pańskiego dobra, którego chleb jadłem... ja radzę! Hrabianka nie od tego, to wiém!

HRABIA.

Oszalał!

BARTŁOMIEJ.

Na co mam bałamucić, co prawda to prawda,

mój syn, pan Bolesław, widział się z nią dzisiaj i mówił jéj o naszym projekcie...

HRABIA.

Jakto? łotr ten ośmielił się jéj mówić! A! tego już zanadto! to przechodzi miarę! Słuchaj waść — póki nie wyjadę... precz mi i na oczy żebyście się oba ze swoim synkiem pokazywać mi nie śmieli... bo...

BARTŁOMIEJ

(przestraszony zrazu ośmiela się powoli).

Bo co? bo co?

HRABIA.

Zawołam na ludzi, i precz was wyrzucić każę, a że tego dopełnię z ochotą, możesz nie wątpić.

BARTŁOMIEJ

(gniewny nakrywa głowę i bierze się w boki).

Mnie! Mnie z tąd wypędzić! Mospaneńku, panie hrabio! mnie! Jaczeńkę? Słyszał to kto? A kto będzie się śmiał targnąć na tę osobę? (pokazuje na siebie) Hrabia nie wiész, czém to pachnie?

HRABIA

na widok gniewu Rządzcy parska śmiechem. Bartłomiej zmięszany zdejmuje czapkę i powoli mrucząc po cichu cofa się do folwarku; ale wpół drogi staje, namyśla się, kładzie czapkę znowu i obraca do hrabiego.

BARTŁOMIEJ.

No! to zobaczemy co z tych strachów będzie!

Strachy na lachy, mości hrabio! Jak wojna to wojna... i owszem. Sprobujmy się!

SCENA V.

HRABIA sam stoi spoglądając za nim. Po chwili wchodzi ADAM Czarnkowski z czapką w ręku.

HRABIA (powoli).

Oto są grzechy mojego żywota!! oh owoce niedołęztwa, nieładu, nieopatrzności na jutro i lekkości naszéj. Ja i dziecię moje — święte a poczciwe dziecię, które i to godnie przecierpieć umiało — idziemy ustępując miejsca takiemu Bartłomiejowi! Nas dwoje, to nic jeszcze — ale tak samo połowa może naszéj staréj szlachty wygnanéj usuwa się przed obcemi przybyszami... a przybłędy i dorobkowicze miejsca nasze zajmują! — Jaka przyszłość dla kraju! jacy obywatele!

ADAM (smutnie przerywając mu).

Przyszedłem pożegnać hrabiego!

HRABIA (ocucając się).

Jakto? tak prędko? w téj chwili? cóż to się stało? odjeżdżasz?

ADAM.

Jadę!

HRABIA (zdziwiony).

Opuszczasz nas w takiéj chwili? to do ciebie nie podobne!

ADAM.

Na cóż się wam tu przydać mogę?

HRABIA.

Pytasz się? mój przyjacielu... A któż nam rękę poda gdy ztąd uchodzić będziemy zmuszeni? na czyjém wesprzemy się ramieniu?

ADAM (smutnie).

Odepchnięto ramię moje.

HRABIA.

Kto? kiedy? Zlituj się, mów! nowa to jakaś i straszniejsza nad inne tajemnica dla mnie!

ADAM.

Usta mam zamknięte...

HRABIA.

Na Boga! Widzisz co się ze mną dzieje, chcesz by mnie dobił niepokój? Co to jest? mów! zaklinam!

ADAM.

Hrabianka kazała mi odjechać.

HRABIA (zastanawiając się).

Rozumiem, może miała słuszność... Nie godzi

się zbyt wielkich wymagać i przyjmować ofiar... ona to pierwsza poczuła i wskazała mi drogę...

Kiedyśmy się poznali, Adamie, mógłem choć szczątki fortuny i imie poczciwe dać po córce; dziś z obojga jestem odarty: bo gotowi mnie uczynić bankrutem, oczernić! Jam tak był nieopatrznym, że ciebie chciałem w tę przepaść ciągnąć za sobą. Za cóż ty masz cierpieć z nami... poznaję w tém dziecię moje.

ADAM.

Nie zgadłeś jeszcze, hrabio, wielkości téj ofiary, do jakiéj ona jest przygotowaną.

HRABIA.

Cóżby to być mogło? mów!

ADAM.

Nie śmiem.

HRABIA.

Ja cię zaklinam, ja ci każę w imie staréj naszéj przyjaźni.

ADAM (po namyśle).

Amelja wié wszystko... ona zrozumiała, co ucierpisz przez oddalenie się z tych miejsc, od spokojnego życia do którego przywykłeś, od prac twoich zwyczajnych...

HRABIA.

Od niedołęztwa mojego...

ADAM.

Chce ofiarą saméj siebie okupić spokój dla ojca!

HRABIA.

A! święta, anielska istota!

(Łzy toczą mu się po twarzy, ociera je powoli.)

Ale gniéwam się na nią! Mogłaż mnie za tak nizko upadłego już sądzić, bym od niéj przyjął taką ofiarę! Biedne dziecię... ja! cobym życie dał za szczęście wasze, jabym was miał rozłączyć! ja przyjąć to jéj morderstwo i na nie zezwolić!!

(porywa się za głowę)

Ona się zdobyła na takie poświęcenie, a ja, mając takie dziecię, — was dwoje przy sobie — miałbym się ulęknąć ubóstwa, wygnania, upokorzenia, trochy bólu!! Nie, nie! suchém okiem pożegnajmy rodzinne nasze progi... i w świat wielki idźmy Adamie! ale...

(podaje mu rękę)

ale razem! wszak prawda?

SCENA VI.

Ciż. AMELJA. Hrabia ujrzawszy ją, rzuca się ku niéj.

HRABIA.

Upokorzyłaś mnie, dziecko moje!

AMELJA.

Ja, mój ojcze?

HRABIA.

Ty! ty! Adam zmuszony przezemnie wypowiedział mi prawdę całą — samą myśl takiéj ofiary dla mnie niewiem jakiemi nagrodzić ci łzami! Aleś mnie już osądziła tak biednym, tak upadłym, żeś myślała iż na to zezwolę i przyjmę ofiarę życia i dam ci się zgubić dla siebie. Sądzisz więc, że mi się serce zakrwawi opuszczając to miejsce razem z tobą? Nie wieczni jesteśmy na ziemi, nie zostaniemy tu na zawsze, wygnańcy poniesiemy z sobą stare podania, wspomnienia i drogie cnót dawnych pamiątki... pójdziemy wesoło, dziecię moje.

AMELJA (z uczuciem).

Pójdziemy.

(do Adama podając mu rękę z uśmiechem)

I ty z nami? nie prawdaż?

HRABIA.

Uśmiech wasz będzie mi drogę życia wyjaśniał... nie lękajcie się o mnie — pomodlę się u grobu ojców, co większe nieraz spełniali ofiary i powędrujemy wesoło.

(Słyszeć szum i hałas za sceną.)

Co to jest?

AMELJA.

To coś jakby wrzawa wieśniaków?

HRABIA.

Pewnie znów jakaś historja tych naszych kochanych Jaczeńków.

SCENA VII.

Ciż sami. PROKOP z gromadą ludzi w któréj IWAŚ i OLENA. Wszyscy z twarzami wesołemi idą do hrabiego i cisną się całując ręce jego i hrabianki.

HRABIA.

Co to jest? czego przychodzicie, moi kochani?

(postrzega Olenę i Iwasia)

A mówiłem wam żebyście się pochowali!

PROKOP.

Niema już czego!... przecie nam pan nie da zrobić krzywdy...

HRABIA.

Alem ja wam mówił, że ja tu nic nie znaczę...

PROKOP (wesoło).

Oho! nic z tego! Musicie nam panować jakeście panowali, i wy i dzieci i wnuki wasze...

HRABIA (smutno).

Nie mówcie mi o tém, przykro słuchać.

PROKOP (do jednego ze starszych trącając go).

Ale mówcie bo wy Hryciu!

HRYĆ (do Prokopa).

Kiedy was gromada obrała, żebyście od niéj poszli i powiedzieli, gadajcie sami, ja i nie potrafię...

PROKOP (do Hrycia).

Czegoś wstyd!

HRYĆ.

No! a ja nie umiem...

HRABIA.

Co się tam naradzacie po cichu, mów poczciwy Prokopie — co to jest? dla czegoście przyszli do mnie całą gromadą? czego odemnie chcecie? Zrobię co tylko mogę... ale nie wiele już mogę!

PROKOP

Jak bo to powiedzieć, żeby jaśnie pan się nie gniewał, a zrozumiał serca nasze.

HRABIA.

Mógłżebym się na was za co pogniewać! nie daliście mi nigdy do tego powodu.

PROKOP.

Zwyczajnie proszę pana, co chłop to chłop...

a co pan to pan... Wy nam przewodzili wieki, my was przywykli szanować, a tu tak teraz przyszło, że się bojemy obrazić, choć dalibóg z dobrego serca...

HRABIA.

Mówcie śmiało, zrozumiemy się!

AMELJA.

Mój Prokopie, wiecie, jak ojciec was kocha, i umie pojąć każde słowo wasze.

PROKOP (powoli).

Myć na to lata pracowali aby się z wami rozumieć! i nie darmo! Otoż to tak, proszę jasnego pana i panienki... Dowiedzieliśmy się dziś o waszém, to i naszém nieszczęściu, że się Jaczeńko odgraża, jakoby chciał nam panować... a to wszystko przez trochę pieniędzy.... Pomyśleli my sobie, nie... na to nie można pozwolić! Klucz wielki, my z łaski waszéj dobrze się mamy, grosz jest po ludziach.... Ratowaliście nas nie raz, nie dwa, po wojnie, w głodzie, w chorobie, w nieszczęściu, nie, jużby nas dziś wszystkich nie stało na to, żeby was w téj biedzie poratować.... Poszliśmy tedy od chaty do chaty, wzięli sobie rachmistrza żeby nam przerachował co to tam tego głupiego grosza po-

trzeba, zebraliśmy co kto mógł dać.... Ot... i stanie sierocego mienia na wykupienie was z niewoli!

HRABIA (z uniesieniem).

Co mówisz Prokopie! Co słyszę! Wy biedni pomyśleliście tak o mnie! Są więc serca u ludzi, jest na ziemi cnota! Oni biedni... a! Prokopie — nie wiecie, jakim mnie szczęściem napawacie.

PROKOP.

E! batku nasz rodzony! nie warto o tém wspominać! groszby u nas pleśniał darmo... nam nie potrzebny.

HRABIA.

Ofiary wdowiego grosza nie przyjmę... nie... ale mnie uszczęśliwia chęć wasza... patrzcie, łzy mam na oczach!

PROKOP.

Jakto nie przyjmiecie? Musicie kochany panie! E! to już inaczéj nie będzie! Chybabyście nas chcieli zgubić. My wam nie śmiemy robić podarku — powolnym czasem, po troszę, kiedyś, to nam i dzieciom naszym oddacie. (uśmiecha się) A my to trochę i dla swojéj skóry robiemy... nie tacy my dobrodzieje, jak się wam zdaje...i o nas téż idzie...

HRYĆ (kiwa głową).

Jaki bestyja mądry!

HRABIA.

Czym na to zasłużył, wątpię, lecz że piérwszy raz w życiu jestem upojony szczęściem... to pewna.

(składa ręce jak do modlitwy.)

SCENA VIII.

Ciż sami. BARTŁOMIEJ ukazuje się na progu folwarku.

BARTŁOMIEJ.

Co tu robi ta hałastra? he? A! i Prokop tu znowu! Co to jest? czego wy tu hałasujecie...a do domów mi zaraz! I Iwaś i Olena! Héj! parobcy, związać ich zaraz i do ciupy!

PROKOP (z przekąsem).

My tu nie do was przyszli, a do pana...

BARTŁOMIEJ (pusząc się).

A wiecież kto tu pan?

PROKOP.

Zdaje się... nasz stary hrabia i młoda panienka... i jak jéj Bóg da męża... to jéj mąż... ot nasi panowie.

BARTŁOMIEJ (ruszając ramionami).

Jaki to naród upośledzony! gadaj im, gadaj, nic nie rozumieją! Hrabia *był* waszym panem, ani słowa, ale kto będzie?

PROKOP.

Po staremu, hrabia.

BARTŁOMIEJ.

On swoje... Hrabia co miał to stracił, dziś jutro zjedzie sąd, który mnie tu wprowadzi, bom ja tu pan, nie kto inny, kupuję was za moją krwawicę.

PROKOP.

Aleście nie kupili jeszcze...

BARTŁOMIEJ.

Ale kupię... a hardym ciepło będzie.

PROKOP.

Jak kupicie, zobaczemy....

BARTŁOMIEJ.

Niedowiarki! Niechże im hrabia sam powie....

HRABIA.

Jako nowy dziedzic, próbuj się zrozumieć ze swemi poddanemi.

BARTŁOMIEJ.

Ja z wami nie będę rozprawiać długo! hej! panowie gromada! nogi za pas i do domów! Słyszycie... fora ztąd!

(wszyscy stoją)

Co, to bunt? nieposłuszeństwo?

PROKOP.

Ej! nie srożylibyście się, panie ekonomie... do czego wam to?

BARTŁOMIEJ.

Śmie mnie nazywać ekonomem!

PROKOP.

Po staremu! Ot, posłuchajcie... przyszliśmy do hrabiego i do was razem, i z nim my już interes skończyli, a z wami dopiero poczniemy....

BARTŁOMIEJ.

Ze mną, mospaneńku! To chcecie alkiermesu?

PROKOP.

Kiedyś to bywało! a dziś my was grzeczno i pięknie prosimy, jedźcie sobie zkąd was tu licho przyniosło i nie oglądajcie się za siebie.

BARTŁOMIEJ.

A to formalny bunt! hajdamactwo!... Hrabia

słuchasz i dozwalasz na to nieposzanowanie od samego Boga ustanowionéj władzy! Jadę na skargę do sądu, do urzędu, do prawa! zobaczemy! Winni chłopi, winien hrabia, hrabianka... pan Czarnkowski... ktokolwiek tu był, patrzał, słuchał i nie stanął przy mnie, mospaneńku! Zobaczemy! zobaczemy!

PROKOP.

Jaki zły, bestja... aż mu się ślepia świecą.

HRABIA.

Mospanie Jaczeńko, zdaje mi się, że ja to waści najlepiéj wytłómaczę... Poczciwi ci ludzie przywiązani do nas, ratują mnie w nieszczęściu ubogim groszem, złożyli co potrzeba, aby mnie z waszéj niewoli wykupić.

BARTŁOMIEJ.

Ci hołysze! te bosonogi mospaneńku! Co? chyba kradzione pieniądze....

PROKOP.

Pewnie o swoich mówicie, panie ekonomie... ej! ej! gromada wielki człowiek! Po staréj znajomości, radzimy, nie gadaćby wam tu długo, a co żywo się z synkiem wynosić, żeby Iwaś nie przy-

pomniał sobie, co robił dziś rano... W sądzie odbierzecie wasze pieniądze... ta i bywajcie zdrowi.

BARTŁOMIEJ (stoi osłupiały).

To tak! mospaneńku! to tak!

PROKOP.

Tak, panie ekonomie... rachmistrz was obrachuje z gromadą... bo to tam dużo się motków naprzędło przez zimowe wieczory i płócien natkało... A teraz! panowie gromada... niech żyje stary pan!

WSZYSCY (podnosząc czapki).

Niech żyje stary pan!!

HRABIA.

Dzieci! słówko! Ofiarę waszą przyjmuję, ale grunta, na których siedzicie, od dziś dnia wasze... nie ma i nie będzie z nich pańszczyzny... Ocenimy je i porachujemy się po bożemu... Zostanie mi kawałek ziemi jeszcze, na któréj za miły grosz po staréj przyjaźni pomożecie mi gospodarzyć... Jesteśmy od dziś dnia sąsiedzi! nie ma pana i poddanych... ale opieka zostaje i serdeczny związek na zawsze!!!

WSZYSCY (poglądając po sobie).

Ej! a czyż to może być! — Niech żyje stary pan!

HRABIA.

Dzieci! za mną do dworu, proszę... namilsi goście moi... chodźcie! chodźcie!

(wychodzą wszyscy, naprzód Hrabia, Amelja, Adam, za niemi gromada cała, przez furtkę w sztachetach. Słychać powtarzane wołania):

Niech żyje stary pan!

SCENA IX. OSTATNIA.

BARTŁOMIEJ który nieśmiało wyglądał z folwarku, w chwilę potém BOLESŁAW.

BARTŁOMIEJ (do syna).

Słyszysz?

BOLESŁAW (kwaśno).

A słyszę....

BARTŁOMIEJ.

Otóż to tobie dziewczęta całować... pocałowali nas....

BOLESŁAW.

Pocałowali! Ale nie było ich siec w skórę....

BARTŁOMIEJ.

Jabym tu został na upartego, ale się boję... a nuż! niech ich diabli wezmą!

BOLESŁAW.

Ja nie myślę popasać! jak się popiją a powrócą....

BARTŁOMIEJ.

Zmykajmy synku... pierwsza próba państwa całe się nam nie udała, ale to twoja wina.

BOLESŁAW.

Jużciż nie moja! Wiedziałem, że z głowy ojcowskiéj nic rozumnego nie wyjdzie!

BARTŁOMIEJ (wzdychając).

Padłem ofiarą mojéj *dylikatności* dla hrabiego, mospaneńku... Otóż tobie moralność! bądźże tu uczciwym! Poczciwi ludzie zawsze tak kończą!

(wzdycha ciężko spoglądając w niebo).

Koniec.

Żytomierz, dnia 5 Grudnia 1858.